IV

Nowele

1 ar. – 1. Herkules
½ – 2. O planetniku
1 – 3. O wojtku
½ – 4. ~~Lis [illegible]~~
1 – 5. ~~[illegible]~~
1 – 6. ~~Jed~~ Jedynej Boga

Herkules nowożytny!

W gminie Jurgów, przy granicy węgierskiej żył człowiek sprawiedliwy, nazwiskiem Kurzawa. Był to chłop niezwykłej siły i wzrostu olbrzymiego, ~~ale sam nie wiedział, że siłą tą można odznaczać~~ i w naiwności swej nie wiedział, że siłą tą można wśród ludzi odznaczać. Już od wczesnych lat nawykł ustępować wszystkim, to też, gdy ojciec, uważając na jego miękkość lekkomyślną, nie ostawił mu w testamencie jeno pół ćwiartczyny pola, i tę zaś ustąpił bratu ~~w zamian za życzliwość~~ [illegible], ~~[illegible] Prosił on brata~~. A to się stało tak, poprostu: ~~Upatrzył sobie był~~ w taki prosty sposób: Upatrzył sobie był niewiastę, na żonę odpowiednią, i uprosił brata, aby poszedł do domu jej ojców, jako swat na namówiny. Brat też poszedł i wywiedziawszy się skrają, ile jej ojcowie dają, namówił ~~ale~~ dla siebie, a jemu wytłumaczył pomału przy czem, że cóż mu po tym skrawku pola, gdy nie ma żony ni dzieci, lepiej niech bratu, obdarzonemu rodziną, ustąpi, za to będzie miał życzliwość i wspomnienie dobre ~~[illegible]~~ na wiek wieków.

Tak to Kurzawa zbył się ojcowizny i miał za ~~[illegible]~~ porę życzliwości i wspominków jeno zadowolenie w sercu z tego, iż taniej zapłaty, kojnej za ten mizerny skrawek nie przypuszczał. Z tem zadowoleniem lekkiem poszedł między ludzi – i pokazało się ~~że nie można żyć~~ dopiero teraz, że nie umiał żyć. Nie był poprostu do życia wdrożony. Czy tem, że sam się chował po wyżyniach, pasąc owce, potem woły po odludnych halach, czy dość, że jej ojciec ~~[illegible]~~ to spostrzegał, i kiedy go z gruntu odcofnywał, a i brat (~~widać życzliwym nie był, skoro mu tak łatwo odjął~~ kłótnie ~~[illegible]~~ [illegible] o tę resztę.) pewnie nie dlatego ~~[illegible]~~ odjął od niego tę resztę. Tak – nie umiał żyć!

I na cóż mu ta siła wielka, ten przepotężny wzrost? Kiedy nie umiał kraść, cyganić, przewijać się, podlizać, pochlebić, być ślepym, głuchym, niemym, kiedy trza było – no jednym słowem: ~~jednem słowem nie był do życia sposobny~~ nie był do życia sposobny. To też, gdy nigdzie przy ludziach nie mógł długo wybyć, ani roboty w końcu u nich nalezć, a widział, iże innym lichszym od niego w żyle [illegible] i na nie,

jętności. ~~Z~~ Zrobił dobrze się wśród ludzi wesołych, zaczął po-
mału poznawać niedołęstwo swoje, a to go jeszcze więcej
onieśmielało do życia. ~~Odczuwał się też pomału — że nie~~
~~był swobodniej, przestrzeni i [illegible] jarzy [illegible]. Także mimo to~~
~~stał się trwożliwym, jak dziecko~~ z trzciny ostatniej strzechy
~~z [illegible], których wyrozumieć nie mógł, [illegible]~~
~~z [illegible] dziecko i [illegible] ludzi napastowanie~~, ż powo-
du dosyć głupiego, iż nie mógł ten smok jakoś przepatrzyć
spokojnie, jak gaździna oszukiwała mu go za oczy, a też
się już całkiem bezradnym i jeszcze bardziej tego wszystkiego,
co się życiem nazywać zwykło, nierozumiejącym. Tak się mu to
wszystko pomieszało — i złe i dobre, i gorsze i lepsze, i sprawie-
dliwe i niesprawiedliwe ~~[illegible]~~, że się już doznaku
stracił, i jakby mu omamienie mgła na oczach siadło
~~widział. przed sobą [illegible], którą [illegible]~~ //:
~~nej niego. Jemu wtedy [illegible] chce... Daje mu język tam smo-~~
~~kowi. Już się zamarzył — i pokapował się, że to mgła, gdzie się wszystko w której~~
~~w [illegible] bezradnie [illegible] i [illegible]~~ ujrzał się nagle
przed jaskinią czarną, którą silił się oczyma przebić,
myśląc przytem, iż gdyby się jego oczom rozwidniła, to już
potem wszystko — całe życie — stanie mu się jasnem. Dozna-
ku tak, jak we śnie. I gdy tak silił wzrok w tę ciemność
długo, uporczywie — a na płacz mu się już zbierało z tej
próżnej niemocy — obaczył nagle przed oczyma smoka, który
wychylił łeb potworny z czarnego otworu, wywalił nań pa-
szczęko ozór taki długi, że jak żyje, życiem nikt pewnie
nie widział takiego ozora, i wpuścił się pomału nazad
do jaskini. Wyraźnie drwił z Kurzawy. Wtedy to po pierwszy
raz napadła ~~[illegible] taka złość~~ tego dobrotliwego z kości i
ciała taka złość nieopętana i mocna, jeszcze dodać — taka
śmiałość, iż bez momentu namysłu rzucił się ku tej
jaskini, aby tę potworę głupią ~~[illegible]~~ za jednym zamachem
zabić, a jeśli nie wiedz, to przynajmniej po tej drwiącej
mordzie skuć tak, iżby się ~~ją~~ jej posoka puściła.
A ale cóż — gdy już mocno z tym zamiarem ruszył, wszyst-
ko mu naraz zniknęło z przed oczu — i smok, i czarność

i paskwila – omamienie go odpadło, i widział jeno dookoła życie podobne jak przedtem. Na kimże się tu mścić?

Z tego zabrał się z gminy, zasiadł na odludnej drodze, która graniczyła z wsią sąsiednią – a że był głodny i zmęczony, siadł na rozstajnych drogach, i, nie widząc nikogo z ludzi, jeno pustkę, rzekł głośno, z przekonaniem:

– Niema sprawiedliwości!

A potem, gdy sobie, dumając długo, odpowiedział na wyrzut, bo przeżytych niedawno przykładach, że prawdę powiedział nie kłamstwo – spytał się znowu tej pustki:

– Co czynić?

Aże go już raz napuszczono do bitki – choć to była jeno złudą (bo go nie opuściła) tem pilniej pochwyciła ~~się~~ teraz ta chętka:

– Czyby iść i prać ~~wt~~ wszystkich ~~bez~~ wyjątku... bo tu każdy coś winien...

Ale, zastanawiając się przedtem, obejrzał ~~[illegible]~~, iż się to nieda tak łatwo wykonać. Gdyby wszyscy ludzie stanęli przed nim w jednej postaci, naprzykład w postaci smoka, jaki mu się w tem omamieniu pokazał – to rzecz byłaby nietrudna. Ale tak... po jednemu... Odrzucił ten zamysł.

Widzi się zaś rzeczywiście na rozstajnych drogach, znowu w bezradnej pomyślni:

– Co czynić?

Wtedy to odezwały się trzy głosy – każdy z osobna i inaczej, tak, że mu się nawet mogło zdawać, jakoby trzy postacie różne przed nim stały.

Pierwszy głos mówił:

– Miejże rozsądek, człowieku, i kiedy cię ta głowa nada, wszak coś zaprzeszłego roku u niej służył, to się z nią ożeń i będziesz miał miejsce. Przecie to rzecz dla ciebie. Wiesz, jak trudno niemającemu majątku przyżenić się do gruntu. Sam wiesz...

Ten głos nie był mu dosmaku obcy. Tak – to samo ~~[illegible]~~ bacy, radziła mu życzliwa jakaś niewiasta, czy też kumoszka naiwnej ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ głowy.

A drugi głos powiadał:

– Jeżeli chcesz mieć długie życie, to ~~ostań kościelnym dziadem.~~ Strzeż się zwad i bitek. ~~Najlepiej~~ A najlepiej, żebyś się pozbył przesądów i został kościelnym dziadem.

4

Ten głos w nim zaczyna się zrodził, jako ~~...~~, ~~...który dorady: „Ja podlec", albo: „Tam obejdź", lub innemi~~, ale Kunaw najmniej sobie wierzył; przeto się nawet nad tym głosem i nie zastanawiał.

A trzeci głos podszeptywał:
– Najlepiej jedź we świat. Świat szeroki – ~~możesz natrafić~~ ktoś zgadnie – możesz natrafić na szczęście. Ani wiesz nawet, co cię czeka. Przytem obaczyć możesz cuda różne...

I ten głos, zdało mu się, choć trochę inaczej, już słyszał, gdzieś, ~~niedawno~~ od kogoś, niedawno... Ale-ba! Tak – istotnie od Żyda-karczmarza, który go często dopraszał, ażeby ~~nie~~ namawiał, aby został u niego furmanem. Jeździłby jemu po tabakę za granicę węgierską, do miasta. Kawał świata... kraj nowy... Cóż ono go wtedy cofnęło, że nie przystał?

I począł myśleć wrozumnie, a ten ostatni projekt coraz to bardziej zaczynał mu się podobać. Jechać sobie wozem, parą koni, jak kmieć na odpust do kościoła... Gościńce bite – osiedla po obu stronach – ciekawsi wyzierać z okien, gdy przejeżdża... Dziewki rozmyślnie najciekawsze... Niejedna gładka twarz czerwieni się i chowa poza sprzęcki okien, jak ta piwonia w ogródku poza sztachetami. Dolatuje go szept: „Patrzcie! Kuna jedzie..." On się prostuje na wozie, i, jakby go ~~nic~~ nigdy nic nie obchodziło, zatacza koło biczem, strzela, a konie niosą jak sto dyabłów... I wnet w głowie jego tem pomyśleniem rozpalonej wytworzył mu się taki obraz zacny, iże furmaństwo zdało mu się najszlachetniejszem, ba, najsławniejszem zajęciem, jakie na świecie istnieje – w oczach urosło mu w sławę, w słowo o wielkiej literze... Furmaństwo – Państwo – Hetmaństwo...

Widziało mu się jasnem, nie wątpliwem, że ~~on~~ on właściwie już od dziecka o tem furmanieniu marzył.

Instynktownie – poszedł za tym głosem. Choć ten głos nie był, jak mu się zdało, wewnętrznym – i, jak widać z pozostałych kart, cudzych obrazów, tak jemu mógł Kunawy żyd-karczmarz zachęcać. Ale ~~[illegible]~~ on na łożnie bawił; niech był ten głos, skąd chciał, skoro dobrze doradził; tak mu się już stanowczo wydało. Powiedział [illegible]: uwierzył w swoje powołanie.

Poszedł odrazu, najął się, i jeszcze w tym dniu przełomowym został, jak bezświadomie był marzył – furmanem.

Z tych rzeczy, które mu wyobraźnia naprzód malowała, spotkał jeno w rzeczywistości gościńce bite i osiedla, nie zawsze po obu stronach. Bicz miał wprawdzie, ale nie umiał nim strzelać – przekonał się, że i tu trza było sztuki; ostatecznie mógłby ją był ~~[illegible]~~ ćwiczeniami nabyć; szkapy jednak miał tak liche, że o jakiemś paradowaniu rycerskiem nie było i pomyślenia.

I dość prędko furmaństwo stało mu się nędzą, słowem o małej literze, jak zresztą każde inne z bliska obaczone państwo – gałgaństwo – cygaństwo...

Wnet też przestał nazywać je swojem od dziecka powołaniem, a nazywał je pospolicie swojem przeznaczeniem, zaczem z kolei przy cięższych westchnieniach nie zaczął nazywać je swoją niewolą. Bo to tak naturalnie szło...

Już dawniej, jak się rzekło, przyszedł nasz Kunawa na to, że niema sprawiedliwości; ~~[illegible]~~ teraz, jeżdżąc światami, tem wyraźniej ~~dotkliwiej~~ to spostrzegał; ~~ale~~ najbardziej to ~~już~~ uczuwał sam ~~sam~~ na swojej skórze, choć nie długo miał na różne biedy.

Doszło do tego, że zatrzymał ~~raz~~ szkapy na otwartej drodze, jakby mu nagle coś wpadło do głowy, i zapytał się stanowczo:

– Po co ja mam tak jeździć?

Nikt mu nie odpowiedział. Więc, westchnąwszy dość ciężko, pogonił szkapy i ruszył. Jadąc zaś dalej, dumał:

– Tu ktoś winien...

Już nie myślał, że „tu każdy coś zawinił", jak przedtem, bo, siebie sprawiedliwym widząc, sądził, że podobnym mu musi być choć trochę ludzi – bowiem inaczej jakoby świat istniał? Przytem, jako człek w sercu sprawiedliwy, nie miał nigdy takiej pychy, żeby się zgoła inakszym od wszystkich ludzi miał widzieć. Przecie, jeśli on czem innem, to siłą swoją może się pysznić, a ~~siła~~ myśli mu to nie stanęło; a wzrostu to się nieraz i doprawdy wstydził, znajdując się na oczach wielu, naprzykład w kościele, gdy ~~nie~~ klęknąć nie może wśród ciżby. Dlatego to ~~[illegible]~~ winić wszystkich może chyba jedynie wtedy, gdy głód mu po katolicku nawet pomyśleć nie da.

Jadąc pomału, z przekonaniem coraz ~~to [illegible]~~ mocniejszem, jakby mu się lżej przez to uczyniło, powtarzał w koło:

– Tu ktoś zawinił...

I podszepnęło mu nie wiedzieć co, że winni tu nie sprawiedliwi ludzie...

Tego mu wszelako nie było. Takie to proste mu się zdało, takie nikogo i niczem oskarżającem. ~~W~~ Zaraz też na takąż odpowiedź. Wydało mu się zaprawdę, że on już to dawno wiedział, ale teraz mu wszelako trzeba było, by ~~[illegible]~~ mu to ktoś przybliżył i przybliżywszy, potwierdził, że to tak jest ostatecznie, nie inaczej.

Dumając nad tem, z gorliwości ~~odpowiedź~~ jeszcze o sprawiedliwość wszelką:

– Wszystkiemu winni niesprawiedliwi ludzie.

I w tem już ostatecznem przekonaniu został.

Ta wiara mu się taka pełna zdała, taka wszystko łącząca i obejmująca, iż już nic do niej od siebie dodawać nie myślał. Była to zaraz też dla Kurzawy wiara; on bowiem zdawna gorliwym był o sprawiedliwość, jeno ~~[illegible]~~ nie znał, skąd jej się krzywda niesprawiedliwa dzieje. Skoro ją poznał, rozgorzał w sercu, ~~ochotę walki do tej krzywdy, i teraz to i dopiero~~ pociągnął ~~przeciągnął ramionami~~ poczuł się ~~[illegible]~~ w sile.

~~[illegible]~~ Znalazł nareszcie ostoję dla siebie i oparcie w tym dziwnie pogmatwanem życiu. Chodziło teraz jeno o to, aby podług tej wiary żyć i czynić ~~[illegible]~~ święcie.

Ku temu przeszkód dużych nie spotykał, ~~[illegible]~~ ba, owszem sposobne same mu się nawijały, jako dzień za dniem [illegible]. I oto jednego dnia napotkał koło karczmy przydrożnej dwie partye bijących się chłopów. Stanął, złożył ponad zwoju i, okręciwszy lepiej koło bioder, przystąpił powoli ku nim. Ci, obaczywszy przed sobą olbrzyma, gdy nie wiedzieli jeszcze, za kim stanie, rozpadli się na dwie strony i zaprzestali bitki. Wtedy Kurzawa począł sąd. Rozpytał się ponad, o co któremu chodzi i, rozsądziwszy w swym rozumie sprawę, kazał ludziom sprawiedliwym nie ruszać się z miejsca, sam zaś podszedł ku ~~stronie~~ partyi, której za winną osądził i począł skrzętnie prać. Jeszcze!.. Takiego sądu uczciwego jeszcze nikt z ludzi nie widział. Chciał on tych niesprawiedliwych pokarać w miarę ich winy, ale się z miarą stracił, gdy karę zapoczął. Gorliwość jego rękę kierowała — gorliwość święta, z tyloletniej uwięzi zerwana, zasłaniająca mu oczy na ~~[illegible]~~ sińce karanych i uszy na ich jęki. Już ~~[illegible]~~ nikt oporu nie stawiał, a on się jeszcze srożył. Już stracił z oczu ich winę i widział jeno przed sobą niesprawiedliwych ludzi i tych karał za sprawiedliwość cierpiącą, za [illegible] — w końcu już nie wiedział, za co, gdy mu gniew ~~się~~ światły rozwagę zatopił. Wreszcie się opamiętał, skoro już nikogo przed sobą nie zauważał, bo niesprawiedliwi wszyscy leżeli jako barany, a sprawiedliwi uciekli przed końcem sądu, bojąc się

w przezorności ~~swej~~, by się ten olbrzym zjuszony, skończywszy sprawę z tancerzami, ku nim nie zwrócił naostatku w [oślepłem] zapamiętaniu ~~ślepem, niebacznem~~. Potem podszedł do wozu stojącego jakby od urodzenia [illegible], odkręcił od lusznic lejce, wsiadł do podkoszek i pojechał.

Odtąd trafiały się mu częste okazye. Bo już miał oczy wzwyczajone do wytrzebiwania ich wśród zgiełku zdarzeń. Niekiedy gromady całe napotykał, zwłaszcza podczas jarmarków lub wesel, nieraz jeno parę ludzi, kędy miedzą przy drodze, ale tygodnia nie było, żeby nie miał sądu; sądził zaś sposobem prostym, jak się przytoczyło wyżej.

A że, sądząc jedynie z opowiadań ludzkich, pomylił się niekiedy i prawdziwie w jakimś [zdarzeniu] ~~wypadku~~ niewinnych pokarał — [na, no,] to trudno ~~—~~ ludzka ~~się~~ rzecz mylić się w sądach.

I miał [illegible] zadowolenie w swem sercu i nie czuł już tak ~~swej~~ ciężko swej niewoli, gdyż żył i czynił podług wiary.

*

I wiele lat tak jeździł i po drogach sprawiedliwość czynił.

Sława jego rosła z każdym czynem, pełno imienia jego było w okolicy, i nawet w dalsze strony ~~sława~~ sięgała o nim wieść, ciekawiąc ludzi, jakby o jakim bohaterze. Poczynali już po stronach mówić, że to niepospolity człowiek, i dziwili się wielce jego czynom; tylko ci [mało] ~~najmniej~~ się dziwili, ~~co~~ którzy go znali poprzednio inakszym; ci powiadali, mrużąc oczy: „My to już wtedy w nim widzieli."

Sława Kurzawy rosła i szacunek się dla niego szerzył, ale niesprawiedliwość nie ustawała – ba, niesprawiedliwych ludzi było coraz więcej, jakby się z jego ogródków rodzili. Kurzawa coraz mocniej gniewem się ku nim zapalał i w zapamiętaniu swem nie przyszedł na to, że mu właśnie ci niesprawiedliwi ludzie może bardziej, niż sprawiedliwi, potrzebni – bo, gdyby ich nie było, cóżby wtedy robił, czego dla sprawiedliwości czynić? Ba przeciwnie – gorliwość gniewna w nim rosła. Zapalał się coraz srodziej w swojej świętej wierze i już nie zadowalniał się okazjami, jakie mu się po drogach przytrafiały, ale sam począł szukać sposobności, gdzieby mógłby niesprawiedliwość pognębić, a sprawiedliwości pomóc, iżby w końcu zapanowała na świecie – bo widział, to mu się w sercu, iż to jest celem jego życia – począł jeździć na jarmarki, choć nie miał potrzeby, zapraszać się na wesela bez pomocy drużbów, zachodzić wreszcie do karczmy, między zgiełk i ciżbę...
A jak się mu sposobność przydarzyła – sądził. Owa gorliwość zdwoiła, ba, setnie wzmogła jego siłę, tak, że kupy całe gromił, jako on Samson biblijny; i wszyscy już wierzyli, że jego moc nie z tego świata, i nikt zemsty nie śmiał szukać na nim, choć i niejeden po cichu jej pragnął, ++ ta gorliwość zarówno czyniła rękę jego coraz to mniej lekką, coraz to więcej podobną do młota; sam już naresznie wagę siły swojej stracił.

I co się nie wydarzyło...

Oto jednego pogodnego rana dostał Kurzawa wezwanie do sądu! Gdy raz przy okazji gromady

jakiś uśmierzył, któregoś z niesprawiedliwych tak mocno, nie umiejąc ciężkości ręki swojej, nadwerężył, iże wyszli do śmierci bardzo niewiele brakowało; jakieś tam żebro, czy coś z kości mu nadłamanego.

Zato go teraz wzywano. Poszedł ochotnie, bo cóż go miało trapić? Powie im: „Ja dla sprawiedliwości uczynił” i po sądzie. „Sąd też dla sprawiedliwości jest ustanowiony” — dumał.

I bez najmniejszej trwogi jeno stanął przed sądem. Jakież było jego zdumienie, gdy usłyszał wyrok, skazujący go za zbrodnię (wyraźnie [illegible]) na trzy miesiące więzienia! (jakby go ktoś z nienacka pałką w łeb uderzył!) Nie dano mu nawet czasu opamiętać się i wyjść ze zdumienia, jeno go zaraz wepchano do jakiejś ciemnicy, gdzie miał tę karę cierpieć.

Tu dopiero ochłonął i mógł się zastanawiać.

Teraz to już nic a nic nie rozumiał. Zgłupiał do znaku na piękne. Przecie on dla sprawiedliwości... a tu znowu w imieniu sprawiedliwości... Myślał, myślał — dzień i noc, i dłużej — sam nie wiedział, jak długo, bo już nawet rachować przestał — i nic zgoła, ani odrobiny z tego wszystkiego nie mógł pojąć. Widział jeno ciemność przed oczami i przed rozumem nieprzebitą, jak ściana, jak mur.

I znowu mu się ta potwora, jaką już raz w omamieniu widział, przedstawiła. Przeszło mu się wydawać, że ją widzi w ciemnym, najmniejszym kącie, jak się trzyma łapskami za brzuch przeobrzydły i śmieje się tak wołgzstnie, że aż jej aż pysk drze od jednego ucha do drugiego, a zębiska jej się świecą jak te grabie.

Zmierzło już mu się nawet na to i nie lękał się — jeno, odwracał zmęczony i [illegible] głowę, szepnął z rozpaczą [illegible] wyrzutem: (jak dawno, gdy ją zobaczył: „Śmiej się, śmiej...”) — śmiej się, śmiej...

I poczuł się z tej niemocy płakać. Potwora znikła.

Kurzawa znów, uspokojony (-ny) zwolna, ~~poczyna~~ zaczął na nowo ~~[illegible]~~ nad tem wszystkiem myśleć. Zasiadł się sobie i rozważał, aby coś rozumem pojąć — ale na nic, ~~głowę~~ po próżnicy głowę se ~~[illegible]~~ mozolił. Gdy raz ~~w upartości~~ ~~[illegible]~~ począł uparcie ~~[illegible]~~ z całym wysileniem dumać, ~~[illegible]~~ zamroczyło coś to ~~[illegible]~~ w rozumie ~~przewracało~~ mąci, jakby go obłęd ~~[illegible]~~ napastował.

I dał już spokój głowie — już nie dumał. Siedział bez ruchu i bez żadnego myślenia i drewniał powoli — czasu żadnego nie czuł — nic nie czuł, jeno ciężkość ~~na~~ piersi duszącą, jakby się ~~piasku~~ góra piasku na nie zwaliła, i ~~p~~ ciemność przed oczami ~~gęstą, nieprzebitą~~ jak w ciemnicy, jak noc...

Wyszedł nareszcie z więzienia, wrócił do wsi — ale już nie ten Kurzawa. Widoku ludzi się trwożył, zwłaszcza gromad większych i nieśmiały był bardziej niż podówczas, gdy u ludzi służył niewolnie. Zgarbił się jakoś, zmalał — nikt by go już za olbrzyma nie wziął, — osiadła hardość onego odwaga, po boku chodził ze zwieszoną głową, wyglądał więcej smutny na wejrzeniu, jak niedźwiedź po spowiedzi!

Ludzie też, widząc go takim zgnębionym, śmielej poczynali mu zaglądać w oczy, ba, dość nierzadko witali go śmiechem. Częstokroć przy nim zwady poczynali na próbę, czy się też wmiesza — ale Kurzawa, jakby całkiem zabaczył o sprawiedliwości, patrzał ~~na~~ na to z pokorności i usuwał się. Sława, czynami dawnymi zdobyta, ~~[illegible]~~ pokryła się gdzieś poza ludzkie płoty, ani jej widać, ni słychać nie było. Niesprawiedliwość podnosiła coraz to wyżej łeb ~~swój~~ nieochrzczony — wreszcie na cały głos tryumfowała.

Kurzawa jeździł ścieżkami ze zwieszoną głową po drogach, po których jeszcze niedawno — sprawiedliwość czynił — i tu też, jak przeznaczenie chciało, spotkała go śmierć.

17

Oto bowiem i wszyscy przez niego dawniej ~~poka-~~ ~~rani~~ sądzeni – a było ich dość sporawie, bo coś przeszło nad stu – zmówili się w jednym czasie i, zastąpiwszy mu drogę, zabili. ~~(Hec Hercules...) Tak~~ ~~się~~ (Hec Hercules...)

Odtąd sprawiedliwości nie ma w gminie Jarzęb. Ale sława Kurzawy zaczęła się powoli przywracać. Ba! nawet ci, których on za życia sądził, a którzy go za to potem (słusznie, jak powiadali ludzie) uśmiercili, zaczynali przemyśliwać nad tym dość naprawdę: czyby go natenprzykład nie ogłosić świętym?

—

Herkles.

I. W gnieździe Jeżów.... żył cudowisk sprawca, dziwny.. ogromnej siły - olbrzymiego wzrostu.

ale mimo to - nie mógł się w życiu dawać rady - za mało był do życia.. kraść nie umiał, ani cyganić!, ani... no - jednym słowem: nie był do życia wśród ludzi sposobny... i nie mógł między nimi żyć.. Prawo.

II. Gdy już ostatnia nędza nań przyszła - siadł na rozstajnych drogach i.... (trzy drogi.)

a/ Spokojny, ułomny wody niezamącony. Mimo to, doj-
dowiedział się, iż musiał najgorszej zła od ludzi cierpieć.
Prawa. Sądy. Ostatni ten większy.

b/ Pozytywne drogi (Keshuleza)

W gminie Jurgów, przy granicy węgierskiej, żył ~~ost~~. ostatnimi czasy chłop czysty, nazwiskiem Kunawa.
~~Spokojny on był, nikomu wody nie zamącił~~ — i tak ~~mu~~ się wydarzyło, że musiał najwięcej zła od ludzi ucierpieć. (od młodu)

chłop [illegible] [illegible]; nazwali go po ojcu Kunawa. Miał takiej tęgości w sobie, że pięć cetnarów ~~[illegible]~~ potrafił zanieść sobie na ~~plecy~~ ramię, a wóz okuty podnosił na plecach.] ale jakby nie [illegible] z tej swojej siły — spokojny był, potulny jak ~~drzewo~~ stare drzewo, nikomu nawet przypadkiem wody nie zamącił. — Mimo to tak się wydarzało, iż najwięcej zła od ludzi musiał przecierpieć. — Za młodu jeszcze.. (przygody) ~~ojcowie~~ odumarli go (~~[illegible]~~) — siostra [illegible] [illegible] ludzie przyznać się — to straci, co miał — ten rozum —

—

~~Chłopcem był, kiedy go ojce odumarli.~~
~~Ojce [illegible] dziecko~~ W długiej koszuli chodził, kiedy go ojce wygnali na służbę. Choć dał ~~[illegible]~~ rady, ale był za to dużo i musiał paść bydło ludziom. Ojciec ~~umarli~~ umarł — matka przyszła z głodu do [illegible] — do najstarszej. O niej zabaczyli [illegible] długo [illegible]. On też nie wiedział i służył. Najpierw bydło, potem wody ludziom pasał. I jakoś mu będzie [illegible], że coś bajście — może od tych [illegible] na polach [illegible] się [illegible]! — ludzie mu dorad[illegible] przecież się ze swoim[illegible]. ~~[illegible]~~ [illegible] [illegible]

na to prawo.

III

O Szczepanie gospodarzu.

„Siedź, siedź, Nordy na tym kawałku ziemi i siedź!". I tak było. Kawałek mój podgrabiły źli z mego zła już ~~[illegible]~~ było po wojnie. Najważniejszy zasługi na nim były.

II

Opowieść

O planetnikach. (gawędowe.)

(Na to chłopak, który (uchodził) dużo świata zwiedził i .... wiesz..!

„ ~~[illegible]~~ Wiele ono planetników jest, który chwała się wszędzie, iż burzę potrafią odwrócić — a lud ich chowa... A których burza nadciągnie — ich nie będzie.. (pani zniknie).".

Herkules nawrócony.

I. Żył we gminie Jurgów - chłop Harnava. Spokojnego był usposobienia, wody nikomu nie zamącił. Tak się jednak złożyło, że od ludzi musiał doznać krzywd wiele. Już od młodu... (krzywdy, palce domacalne - prawo - wyzuć - wiecznie od gruntu - siedział na tło, ziemi miał nie, a ... sobie i tak się myślał.. (przestępne drogi ... do najem)

II. Siły miał, i chłop był przeogromny, jakiego w okolicy nie widziano. Koloś mógł tak małość. Uczył się więc od furmanki Żydom tabak wozić z węgierskiej strony. Jeździł i poznawał ludzi dużo, a przechowanie o niesprawiedliwości w mnogości. Przyszło, że nie mógł siedzieć. Spotkał dwóch gwałtownych bijących się (...) ...

III. Odtąd jeździł i po drogach sprawiedliwość czynił. Okazji miał mocno dużo po drogach karczmy bywały. Trafiło się nawet, że i poprzybijanych pobił, bo z opowiadań wiedział. A to nie tak. Nie wiedział, jednak o tem i był spokojny o sumieniu. Niejeden był przez niego pobitych. etc. Po jednej takiej zadrze, gdy się umocnił carzy - siedział i żal się ... !!

IV. Nareszcie przyszedł koniec. Ci wszyscy pobici, a było ich ze sto - zemścili się na niego. Zabili!

Odtąd sprawiedliwości niema w gminie Jurgów. Różni, ... sprawiedliwość uczynił przemyślnie, czyby go nie ogłosić świętym.

przyjść... Ale to ~~nic~~ jeszcze nic. ~~[illegible]~~ Ogarnąć, u którego
stanął, był [illegible]. Zabudował się w [illegible] [illegible].
I tak se radził — że jak ten grunt wyprzedawszy, to od [illegible]
[illegible]. A skoro przyjął [illegible] [illegible] nadziei: bo roboty
widzieli — i cud, że i bez gruntu potrafił żony wyżyć.
A potem i tak... Ino ten był chodził do roboty, dlatego
że go na wszystkim obierali — a który robotniczy od [illegible]?
I długo se [illegible] przyjść... ~~[illegible]~~ Przeszło
pierwszy rok od tego prawa — i o zastępcę się nie pytał —
oni też, [illegible], [illegible] widzieli — aż tu w jednym czasie
dopuścił [illegible] [illegible] na [illegible] — i [illegible].
Darmo [illegible] o ~~[illegible]~~ [illegible] w ~~[illegible]~~ [illegible] [illegible] — nic
niepomogło. Zapowiedział [illegible] — i [illegible] już [illegible]

~~Coś myślał zrobić — odszedł~~ Wtedy mu wpadło, żeby
tego ....— ubić. Ale zaraz pomyślał, że ~~[illegible]~~ [illegible] tu
najmniej [illegible]. ~~odszedł~~ ~~Odszedł~~ Odszedł — i usiadł
na [illegible] drogach:
— ~~[illegible] sprawiedliwości~~.

Mowa do siebie [illegible] po jednym takim czynie:
— Dajże mi Boże, żebym tę bestyę (wyraził się ordynarnie,
jak furman) nauczył sprawiedliwości. P.

4. 11

Wtedy ~~to~~ ~~[illegible]~~ to oderwały się trzy głosy, każdy z osobna od drugiego, tak, iż mu się nawet mogło zdawać, jakoby trzy postacie różne przed nim stały.

Pierwszy głos mówił:

– Miejże rozsądek, człowieku, i kiedy ci ta wdowa rada widzi (?), coś łódzkiego (?) u niej utkwiło, to się z nią ożeń i będziesz miał miejsce. Przecie ~~to~~ mieszczka (?) dla ciebie! Wiem, jak trudno niemajętnemu wojskowemu przyżenić się do gromady... Sam uważ...

Ten głos już słyszał dawno. Tak-to samo radziła mu życzliwa jakaś mieszczka (?), kumoszka owej wdowy.

A drugi głos powiadał:

– Jeżeli chcesz mieć długie życie, to ostań kościelnym dziadem. ~~Tam się bitek wystrzeżesz~~... A strzeż się zwad i bitek...

Ten głos w nim samym się zrodził, jakoby z jakiejś obawy.

A trzeci głos podszeptywał:

– Najlepiej jedź we świat... Świat szeroki – możesz natrafić na szczęście. Ani wiesz ~~nawet~~, co cię czeka. Przytem i ciekawość obaczysz ~~kraje, ludzi różne~~ cuda różne... Jedź, jedź...

~~Już dawno się~~ I ten głos, zdało mu się, ~~już~~ choć trochę odmienniejszy, już słyszał gdzieś, i to niedawno. Ale-ba! ~~słyszał~~ od ~~[illegible]~~ żyda Kacenmana, który go w ostatnich dopiero niedzielach namawiał, aby został u niego furmanem ~~[illegible]~~ Jeździłby jeno po tabak za granicę węgierską... ~~[illegible]~~ do miasta... Kawał świata... ~~[illegible]~~ przejrzałby... Cóż ono go wtedy cofnęło, że nie przystał? ~~Że~~

I począł dumać nad tem – a tem... czemu to bardziej wszystko mu się podobnie... Gościńce bity – po obu stronach – ciekawość [dziwy z okien] ~~[illegible]~~ (furmańskiego wozu na starość) gdy przejeżdżał [dziwiło]... Wszystko w myślach, w wyobraźni stworzył się [illegible] – zdawało mu, że on właściwie już od dziecka o tym ~~furmanie~~ ~~furmanieniem~~ ~~wszystko~~ marzył. I naturalnie – ponadto ~~nie~~

~~Feliks Gwiżdż.~~

~~Jesienną nocą~~

~~W mrocznej izbie siedzą sami~~

~~X~~

List.

1) przepraszam, że nie pisał —.

a) 2) Powodzenie ... Zdrowie — pow. nie dobre, bo praca, a do[...] słoń ciemna. W służbie u firmy już nie — i nie mam widoków na przyszłość, żebym jako tyż mógł i gospodarstwo nareszcie prowadzić.

3) Z powodów tych ... wszystkim wszystko! Proszę Pana Cię rok prawie — i ... — odrzuciłeś, dowiedziałem się, abym został. Wytrzymałem się rok — ale widzę, że do niczego to ... więc postanowiłem ostatecznie tej służby wyrzekać.

I ja zwracam się do C. z prośbą: Bądź ~~tak~~ dobry — ~~...~~ ... — udzielił byś — po nie ~~...~~ ... te z góry wydawać.

Jeśli byś wymyślił — to w każdym odpowiedział — gdyż i czy ~~...~~ ... — mam zamiar jechać. — ... odp. czy by byś ... abym Tam przyjechał — bo mogę też gdzie indziej.

~~X~~ ~~O pracy ...~~ **o odpowiedź!** Co się tyczy gospodarstwa — to przy ~~gotowy~~ sposoby wszystko — i ostanie zaber pielęgnacyjny. ~~...~~ (drwa na opał.) — przypomnij na dwa lata. Mama też mi nie zabroni. A tym

b) czasem będzie się brat Jasiek zawiadowił o wszystkim. O pare Fredro. Siostra ... Wszystko ... coraz to gorzej zostaje.

Pozdrowienia. ... z Nowszej ... jedzie — chciałby się ...

ze tym głosem, choć ten głos nie był dość wewnętrzny, jak już wiele z tych obrazów, które mu przed oczy szły, szczęściem, tak jemu mógł go żyd-karczmarz zachęcić. Ale już nie odwróci — niech był, skąd chciał, kiedy dobrze doradził (tak mu się już stanowczo wydało). Wstąpi w swoje powołanie. — Nazajutrz odrazu — najmie się u ~~żyda~~ jakiego i w tym dniu prze- [illegible] postać ~~furmanem~~.

I począł dumać nadtem, a ten ostatni projekt coraz to bardziej zaczynał mu się podobać. ~~[illegible]~~ Jedzie sobie na wozie parą koni — jak kmieć na odpust do kościoła... Gościniec ~~biały gładki~~ biały — osiedla po obu stronach — ciekawość wyziera z okien, gdy przejeżdża... ~~[illegible]~~ dziewczęta zwykle najciekawsze... Niejedna gładka twarz rumieni się i ~~[illegible]~~ chowa ~~[illegible]~~ spoza okien, jak przemknie w ogródku pod ~~[illegible]~~ sztachetami. Dolatuje go szept: „Patrzcie! Kuma, na jedzie!".. On się prostuje, ~~[illegible]~~ na wozie i jakby go nigdy nic nie obchodziło, zaciął koni biczem, strzelaj a konie niosą jak sto dyabłów... I wnet z ~~[illegible]~~ wzgórzy jego wyobraźni ~~[illegible]~~ wytworzył mu się taki obraz czarny, że furmaństwo ~~[illegible]~~ zdało mu się najszlachetniejszym, ba, najszczęśliwszym zajęciem, jakie na świecie istnieje — ~~[illegible]~~ wszak urosło mu w duszę... (słowo ~~[illegible]~~ wielkiej literze) Furmaństwo... Hetmaństwo... Państwo... Wydało mu się teraz, że on właściwie już od dziecka o tem furmaństwie marzył.

I naturalnie — porzucił z tym głosem. Choć ten głos [illegible] nie był dość wewnętrznym, jak już nieba, a jak w [illegible] obrazów, tak jemu mógł karczmarz żyd-karczmarz zachęcić. Ale on już nie odwróci — niech był, skąd chciał, skoro dobrze doradził; tak mu się już stanowczo wydało. Powiedzieć można: wstąpił w swoje powołanie.

Nazajutrz odrazu najął się, i jeszcze w tym dniu przetworzył się w zawód, jak ~~marzył furmanem~~ bezwiednie był marzył — furmanem. +

Z tych rzeczy, które mu wyobraźnia naprzód malowała, spotkał jeno w rzeczywistości gościniec biały i osiedla, nie zawsze po obu stronach. Biczem strzelał wprawdzie, ale nie umiał zeń strze-

lać – przekonał się, że i ta też była sztuki; ostatecznie mógłby ją ćwierćwiekami nabyć – szkapy jednak miał tak liche, że o jakiemś paradowaniu nie było i pomyślenia. I nie narzucał już tego zajęcia swoim powinnościom, ale swoim przekonaniom, zanim z kolei nie zaczął narzucać je swojej niewoli. Bo to tak naturalnie szło. Już dawniej, jak się rzekło, przywodził nań tkuma na to, że niema sprawiedliwości; a teraz, jeżdżąc światami terminowymi to spostrzegał najbardziej to, iż uczciwość sam na swojej skórze, choć nie chciał miał na różne biedy. Doszło do tego, że raz zatrzymał szkapy na otwartej drodze, jakby mu nagle coś wpadło do głowy i zapytał głośno: „Po co ja mam tak jeździć?" Nikt mu nie odpowiedział. Zresztą, westchnąwszy dość ciężko, pojechał szkapy i ruszył. Jednak raz dalej, dumał: „Ta ktoś winien..."

już nie myślał, że „ta biedy coś winien", jak przedtem, bo szukał sprawiedliwszych widząc, świat dumał, że podobny mu jest choć trochę ludzi, bo innymi jakoby świat istnieć? Przytem, jako człek w sercu sprawiedliwy, nie miał nigdy takiej pychy, żeby się zgoła znakomym od wszystkich ludzi miał uważać i przedsię sobą mógł się porównać, a nie myśl mu to nie przyszło; że wzrostu także dorównał, jak się zmalał na oczach wielu, na przykład w kościele, gdy klęknął nie mógł wśród ciżby. Do ładu wśród wszystkich mógł chyba jedynie wtedy, gdy głód mu po katolicku uczciwie pomyśleć nie dał. Teraz, jadąc pomału z przekonaniem coraz to mocniejszym powtarzał: „Ta ktoś winien." I podrzucił mu nie wiedzieć co, że winni niesprawiedliwi ludzie... Tego mu właśnie trza było. Tak to proste mu się zdało, takie [illegible] i wielu oskarżające – w sam raz [illegible] odpowiedź. Wydało mu się wprawdzie, że on już tosamo wiedział, ale – teraz trza było, by mu ktoś przybiegł i przybieżące potwierdził, że to tak jest ostatnie, nie inaczej. Dumnie nad tem, zgadywał [illegible] o sprawiedliwość: „Wszystkiemu winni niesprawiedliwi ludzie..." I w tem już ostatecznem przekonaniu został.

Była to w tym razie dla niego wiara. On bowiem zdawna gorli-
wą był sprawiedliwość – i [illegible] teraz też poczuł się w sile.
Tak wiara mu się taka pewna zdała, taka wszystko
tłumacząca i obejmująca, że już odtąd nie chciał,
ani umiał słów innych na siebie. Oto miał naraz
ostoję i oparcie w tem nieznanem, sprzymierzonem życiu. 13
Chodziło teraz o to, aby podług tej wiary żyć i czynić.

Herkules

W tem trudności dużych nie spotykał, same okazje
sposobne mu się nadały, jako dzień za
dniem przychodziły. I oto jednego dnia napotkał koło
Korony przydrożnej dwie partye bijących się chłopów.
Stanął, zlazł ponad z wozu, i [illegible]
wśród tłoku ludzi, przystąpił powolnie ku nim. Ci,
obaczywszy przed sobą olbrzyma, gdy nie wiedzie-
li jeszcze, za kim stanie, rozpadli się na dwie strony
i zaprzestali bitki. Wtedy Skunawa począł sąd. Korzys-
tał się pomału, o co którym chodzi, i rozsądziwszy
w swym rozumie sprawy, kazał ludziom sprawiedliwym nie
zmazać się z innymi – sam zaś podszedł ku stronie, którą
za winną osądził i począł precz [illegible] Jerusie!..
Takiego sądu nowego jeszcze nikt nie widział u ludzi.
Chciał on tych niesprawiedliwych pokarać w miarę
ich winy, ale się miara straciła, gdy karę za[illegible].
Gorliwość jego ostygła kierownik. – Gor-
liwość ślepła, raz z tylowiekowej uwięzi zerwana, zasta-
niająca mu oczy na rany karanych i uszy na ich
jęki. Już nikt oporu nie stawiał, a on się jeszcze srożył.
Już stracił z oczu ich winy, i widział jeno przed sobą
sprawiedliwych ludzi # i tych karał za sprawiedliwość
cierpiących, za siebie, w końcu już nie wiedział, za co, gdy
mu święty gniew uwagę zatrzasł [illegible]
[illegible] ciemne się [illegible]
siłą. Wreszcie się opamiętał, skoro już nikogo przed sobą
by nie zauważył, bo niesprawiedliwi wszyscy leżeli [illegible]
bazamy, a sprawiedliwi uciekli przed końcem sądu,
bojąc się w przezorności swej, by się ten olbrzym zjuszony,
skończywszy swoje sprawę z tamtymi, i ku nim nie zwrócił
w zapamiętaniu niezdobnem [illegible]. Potem
podszedł do wozu, pijanym jakby od wzruszenia krokiem,

Że raś, sądząc z podobnych opowiadań ludzkich, pomyślał wiernie i prawdziwie jakieś wydarzenie [illegible] nie minęło pokarań — to trudno odrzucić od leśnej legendy, wśród [illegible] (do potkostek) [illegible]

wypróżnij się w gdach.

Odtąd trafiały się mu częste okazye. Bo już miał oczy wzwyczajone do wyszukiwania ich wśród szczątku zdarzeń. Nieraz gromady całe napotykał, zwłaszcza podczas jarmarków lub wesela, nieraz tylko parę ludzi, koło przy drodze, ale tygodnia nie było, żeby gdzieś nie miał sądu; sądził zaś sposobem prostym, jak się przytrafiło wyżej. Widział Kuriawa zadowolenie w sercu, i nie czuł już tak się trwożył, gdy żył i czynił podług wiary.

I wiele lat tak jeździł i po drogach sprawiedliwość czynił.

Sława jego rosła z każdym czynem, pełno imienia jego było w okolicy, a nawet w dalsze strony szyna o nim szła, ciekawsze ludzi, jakby o jakim bohaterze. Poczynali już po stronach mówić, że to nie wypadały cudownych; i dziwili się wielce jego czynom; tylko ci najmniej się dziwili, co go znali poprzednio człowiekiem; ci powiadali, mówiące oczy: my to już wtedy w nim widzieli!!

(I byłby pewnie Kuriawa jeszcze więcej czynów zdził, i tak, byłby pewien większą zyskał sławę, jeśli by pewna większa zasługa dla sprawiedliwości, gdyby nie gorliwość jego. Oto gorliwym był zanadto w swojej już wierze. Gdy mu się z czasem okazyj mniej przytrafiło, w których mógłby niesprawiedliwość pogubić, a sprawiedliwości pomódz, żeby w końcu zapanowała na świecie — bo o tem w celu swym najdalszym marzył — to modlił się gorąco o te okazye, na mszę na tę intencyę dawał, a wreszcie z gorliwości sam począł okazyj szukać: szedł na jarmarki, między kupców, do największej ciżby, w tym na wesela, chadzał celu tam na odpusty, do karczem zachodził, począł do karczmy nawet w czasie mszy, zapustów..

To było już Kuriawy zgubą: ta gorliwość zbytnia.

Sława jego rosła i [illegible] się dla niego [illegible] — ale niesprawiedliwość nie malała, bo niesprawiedliwych ludzi było co raz więcej, jakby się z jego (gniewu) rodzili. [illegible] córa [illegible] gniewem się na nim zapaliła [illegible] w zapamiętaniu swem nie przyszło mu na to: że nie wszyscy są niesprawiedliwi ludzie, którzy bardziej niż sprawiedliwi potrzebni — (gdyż gdyby ich nie było) któż by wtedy robił, chciał czynić dla sprawiedliwości czynić? Za prawdziwie gorliwość (gniewna) w nim rosła. Zapalał się coraz srodziej w swojej świętej (wierze) i już zaś zadowalał się skarżeniem, jakie mu się po drogach przytrafiały, ale sam począł szukać sposobności, gdzie mógłby niesprawiedliwość pojmać, a sprawiedliwości pomóc, żeby w końcu zapanowała na świecie, bo wydało mu się w sercu, iż to jest celem jego życia. Począł jeździć na jarmarki, choć nie miał potrzeby, zachodzić wieczorem do karczmy, między zgiełk i ciżbę... A gdzie się sposobność (przy)zdarzyła — sądził. Ta owa gorliwość też czyniła zdarzało, bo setnie nieraz jego siły — tak, że kupy całe gromił, jako ów Samson biblijny, i ludzie wszyscy już nawet myśleli, że moc w nim jest nie z tego świata i nikt [illegible] zawisty nie śmiał [illegible] na niego, choć był [illegible] gorliwość zawsze czyniła [illegible] coraz to częściej [illegible] siły swojej [illegible].

I co się nie wydarzyło... [illegible] gdy raz jakiś gromadę uśmierzył [illegible] z niesprawiedliwych tak mocno nadwerężył, [illegible] do śmierci bardzo niewiele brakowało, jakoś tam żebra czy coś z kości miał nadłamanego. [illegible] jednego [illegible] zaraz został Kuras wezwany do sądu. [illegible] wezwano. Poszedł ochotnie — bo cóż go [illegible] przecież on i [illegible] dla sprawiedliwości czynił, [illegible] i po sądzie. [illegible] Sąd też dla sprawiedliwości jest ustanowiony — [illegible].

(jak niedźwiedź po spowiedzi)

I bez najmniejszej trwogi stawił się przed sądem. Jakież było jego zdumienie, gdy odczytano (ogłoszono) wyrok, skazujący go za zbrodnię (przekroczenie ciszy) na trzy miesiące aresztu! Nie dano mu nawet czasu opamiętać się i wyjść ze zdumienia, jeno go zaraz wepchano do jakiejś ciemnicy, gdzie miał te trzy miesiące cierpieć.

Tu dopiero ochłonął i począł się zastanawiać. Teraz już nic nie rozumiał. Zgłupiał doszczętnie. „Przecież on dla sprawiedliwości... a tu mowa w imieniu sprawiedliwości !!!” Myślał, myślał dzień i noc i dłużej, bo już sam nie wiedział, jak długo, bo już rachubę czasu zatracił — i nic zgoła, ani odrobiny z tego

(1) wszystkiego nie mógł pojąć. Napróżno zasadził umysł i wszystkie władze przywoływał, cały wysiłek na to, aby coś z tego zrozumieć. Gdy zaś z ostatnim wysiłkiem począł dumać, to mu się coś w rozumie przewracało: jakby go obłąkanie nachodziło. I wreszcie dał spokój — już nie dumał. Siedział bez ruchu i bez żadnego myślenia: drewniał ponad i czas odlegał, to nie czuł — nic nie czuł, jeno ciężkość przepierającą taką, jakby się góra na niego zwaliła, i marność pod oczami, jak ściany, jak mur...

Wyszedł nareszcie z więzienia, wrócił do wsi — ale już nie ten Kurzawa. Widoku ludzi się trwożył, zwłaszcza zaś gromad większych i nieśmiały był bardziej, niż wówczas, gdy u ludzi niewolnie służył. Zgarbił się jakoś, zmalał — nikt by go już za olbrzyma nie wziął. Osiedla ludzkie omijał zdaleka, po boku chodził ze zwieszoną głową, wyglądał niezwyczajnie smutny, jak niedźwiedź po spowiedzi. ./. (2)

(2)

V. ~~Zrozumiał się od~~ widział jeno ciemność ~~gęstą~~ (1) przed oczami i przed rozumem, gęstą jak ściana, jak mur. Zrozumiał mu się ta potwora, jakby już raz ~~widział~~ w omamieniu widział, przedtem. ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ Przeczuł, nie się wyrwie, że go wodzi wciąż kręgiem, jak się tęgimi obłokami ~~[illegible]~~ łapskami zabrudził obwieszony i śmieje się tak ostatnie, że się już aż pysk ~~[illegible]~~ drze od jednego ucha do drugiego, a szybko się (~~śmieje~~ jak grabie).

Zaniemówił już się nawet na to i nie wołał, jeno, odwróciwszy głowę, szeptał:

— Śmiej się, śmiej!..

I począł aż z tej niemocy płakać, a potwora ~~od~~ zeszła.

Przyszedł do uspokojenia, począł znowu ~~[illegible]~~ namyślać nad wszystkiem. Zasiadał się stąd i zowąd, aby coś rozumem pojąć — ale nie, poprzewracany głowę se nie wolił. Gdy ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ raz w ostatniej uporności ~~[illegible]~~ począł z całym wysiłkiem dumać, to ~~nie~~ przyszło mu coś w rozumie ~~[illegible]~~ ~~jakby~~ niedocność w rozumie przewracało, jakby go obłęd ~~za~~ chwytał. I wreszcie dał spokój — już nie dumał. (1)

~~[illegible] nadłożył~~, a tych, co się tu ~~od Kurzy wypuścili~~, podwójnie ~~[illegible]~~."

(2) Oto bowiem ~~[illegible]~~ ci wszyscy przez niego pobici, – a było ich dość sprawnie [?], bo coś wyżej dwudziestu – zmówili się w jednym czasie i, przywarłszy go w karczmie w pełnię [?] kęcie ciemnym, rzucili ~~[illegible] kupą~~ na niego kupą i zabili. Nie chciało się ludziom wierzyć, gdy się o tem wieść rozeszła – ale tak było niezawodnie: na śmierć Kunawę zabili. Jak to tam było, to już mniejsza, dość, że zabili, i koniec.

~~Oto~~ Odtąd sprawiedliwości niema kto pomagać. Ale już ~~[illegible]~~ czyny jego wydały dobre owoce. Oto ci, których ~~karał~~ pokarał, a którzy go za to potem ~~[illegible]~~ wszyscy uśmiercili – teraz są skruszeni w sercach i przemyśliwają, ~~[illegible]~~ czyby ~~[illegible]~~ (go nie skruszenie nie było, się [illegible]?) (2)

V 9
2 Raz po jednym z takich zajazdów, gdy się [illegible] setnie – siedzi i tak sobie mówi:
– Czyżko to jest dla sprawiedliwości czynić... itd.

(2) ~~Jeździe jego~~, wytrwani zdobyta, godziła się ~~kiedy pora płoty~~. Ludzie też, widząc go takim zgnębionym, śmielej poczynali mu zaglądać w oczy, ba, dość nie nad[?] no witali go śmiechem. Cystersowie przy nim swady poczynali, czy to na oko, czy też ~~Kurawa~~ wymierzona – ale Kurawa, jakby zabrakło mu przeszło[?] o sprawiedliwości (pomimo ~~tylko~~ patrząc) i usunął się. Sława[?] ~~cyrecami~~ dwojgi zdobyta, kiedy się pora podobna, ani jej już i widać nie było. Niesprawiedliwość podniosła ~~głowę~~ coraz wyżej łeb zuchwały ~~już jej Kurawa nie był~~ ~~otrzymujący~~ wszędzie i niegdyś ~~po drodze~~ tryumfować ~~po drodze~~.

Kurawa jeździł ~~z~~ ~~[illegible]~~ ze zbrojnymi[?] ze zwieszoną głową, po drogach, po których dawniej sprawiedliwość szerzył, i ta też, jak pomimo chciało, spotykała go śmiech.

Oto bowiem ci wszyscy przez niego dawniej pokarani – a było ich dość sporawo, bo coś przeszło nad sto – umówili się w jednym czasie i, zastąpiwszy mu drogę, zabili. (~~Jak mówiono~~ Nec Hercules ...)

Odtąd sprawiedliwość mieszka w gronie zbójów, ale sława Kurawy zaczyna się powoli przywracać. Bo, nawet ci, którym się zdarzyło potknąć, a który go za to potem dosięgnie, jak ludzie powiadają, nawet dość nieprawdą (go ~~[illegible]~~) śmiercią, zaczynają przemyśliwać, czyby ~~Kurawy nie oglądać szczytem~~ na tem przykład nie odbierać szczytem? (2)

—

Zakończenie

„Pocałunek zorzy" [?]

Herkules

Herkules nowoczesny
Lis [?]
O [illegible]
O [illegible]

17

I.

W gminie Jargów, przy granicy węgierskiej, żył niedawnymi czasy chłop niezwykłej siły, [illegible] nazywali go po ojcu Kurzawa. Miał on taką siłę w sobie, że byczki kilkomiesięczne brał na plecy, jak małe jagnięta, a wóz okuty [illegible] potrafił [illegible] z ziemi dźwignąć. Ale jakby nie wiedział o tej swojej sile – spokojny był, niezwadliwy, nawet potulny jak dziecko; w karczmie czy na odpuście każdemu ustępował i nie rad był na oczach stawał, jakby się wstydził w sercu tej swojej siłowości i przydługiego wzrostu. Urósł bowiem ponad wysoki, a nie był przytem kabłąkowaty; to też wiatr [illegible], gdy szedł, niejeden starszy jakby drzewem [illegible] [illegible]; a ludzie to już wydziwować się nie mogli: „skąd nie taki wzrost i taka moc?" bo ojce jego byli mali, [illegible] wzrostu. Jak się już rzekło, mimo tej siły i [illegible], dobrotliwym był, nawet z przypadku szkody nie zaczęł. Od ludzi zła nie najwięcej:

Tak się mu jednak wydarzało, że najwięcej zła od ludzi musiał w sercu cierpieć.

W długiej koszuli jeszcze chodził, kiedy go ojce wygnali na służbę. Zbiedzeni byli tak bardzo byli, iżby go nie zdołali w chałupie wyżywić, ale im niepotrzebny był, a zresztą już mógł jaki pieniądz – bo choć lat miał jeszcze mało, ale za to duży był – mnogo od niego pasali. Służył u rozmaitych gazdów, gdzie mu rozmaicie było – raz źle, drugi raz gorzej; ale się mu nie uciekło za domem. (Zarobione już z początku dość rzadko, i potem – już [illegible]) ojciec zaś na niego brał na rok – kiedy trzy kroki, jak odebrać za niego od ludzi zasługę – przytem widział mu rad ojcowskich, jak ma gazdów swoich słuchać, a gdy ci na niego skarżyli się, to i po ojcowsku poklął. Nie długo zresztą tył odwiedzan bydło, bo ojciec pomarł wnet.

niego dawniej sądzeni – a było ich dość sprawnie, bo coś przeszło nad sto – zmówili się w jednym czasie i, zastąpiwszy mu drogę, zabili. (Nec Hercules...)

Herkules

Odtąd sprawiedliwości niema w gminie Jurgów. Ale sława Kurzawy zaczyna się powoli przywracać. Ba! Nawet ci, których on za życia sądził, a którzy go za to potem (słusznie, jak powiadali ludzie) uśmiercili, zaczynają przemyśliwać nawet dość naprawdę: czyby go natenprzykład nie ogłosić świętym?

identyczne wersje całe ... cyklopsk

211

Blonay (sur Vevey)
chez Mme Burki.
(Suisse)

D. 20/I 902.

W załączeniu przesyłam ~~nowelkę~~ drobiazg – (~~[illegible]~~) może się zda – i proszę o przedrukowanie z ~~Dr.~~ warszawskiego „Ogniwa" noweli pt. „Herkules nowożytny". Proszę też o parę słów na kartce, czy ~~był~~ „~~[illegible]~~ byłoby miejsce w „Tygodniu" dla mojej „Ofiary"; jeśli tak – to, przepiszę do czysta, przyślę [illegible] odrazu podwójne i wystarczający manuskrypt [illegible] tego.

Serdeczne pozdrowienia Tobie i [illegible]

z głębokim szacunkiem [illegible]

O wojtku, którego na trzepaka przetrzepali

W1 W1 W Wia 0

HERKULES NOWOŻYTNY.

W gminie Jurgów, przy granicy węgierskiej żył człowiek sprawiedliwy, nazwiskiem Kurzawa. Był to chłop niezwykłej siły i olbrzymiego wzrostu, i w naiwności swej nie wiedział zrazu, że się tem można wśród ludzi odznaczać.

Już od wczesnych lat nawykł ustępować wszystkim, to też, gdy ojciec, uważając na jego miękkość lekkomyślną, nie ostawił mu w testamencie, jeno pół czwarcizny pola, i tę część ustąpił bratu w zamian za życzliwość. A to się stało w taki prosty sposób :

Upatrzył sobie był niewiastę, na żonę odpowiedzialną i uprosił brata aby poszedł do domu jej ojców, jako swat , na namówiny. Brat też poszedł, i wywiedziawszy się skraja, ile jej ojcowie dają, namówił - ale dla siebie, a jemu wytłumaczył pomału przy czasie , że cóż mu po tym skrawku pola, gdy niema żony ni dzieci, lepiej niech bratu biednemu, obarczonemu rodziną, ustąpi, za to będzie miał życzliwość i wspominanie dobre na wiek wieków.

Tak to Kurzawa zbył się ojcowizny i miał prócz życzliwości i wspominków jeszcze zadowolenie w sercu z tego. Ani takiej zapłaty hojnej za ten mizerny skrawek nie przypuszczał.

Z tem zadowoleniem lekkiem poszedł między ludzi - i pokazało się dopiero teraz, że nie umiał żyć. Poprostu nie był do życia wuczony. Czy temu, że sam się chował we większej części lat swoich, pasając owce, potem woły po odludnych halach, czy z urodzenia był tak niepojętnym - dość, że już ojciec to widać spostrzegał, kiedy go z gruntu odcofnął, a i brat pewnie nie dlaczego inszego odjął od niego tę resztę.

Tak - nie umiał żyć. I na cóż mu ta siła wielka, ten podpowalny wzrost, kiedy nie umiał kraść, cygnić, przewijać się, podłazić, pochlebiać, być ślepym, głuchym, niemym, gdy tego trza było - no jednem słowem : nie był do życia sposobny.

To też, gdy nigdzie przy ludziach nie mógł długo wybyć, ani roboty w końcu u nich znaleść, a widział, iże innym, lichszym od niego w sile i umiejętności robót, dobrze wśród ludzi wiedło, zaczął powoli poznawać niedołężność swoją. I to go jeszcze więcej onieśmielało do życia.

Straciwszy ostatnią służbę z powodu dosyć głupiego / iż nie mógł ten rok jakiś przepatrzeć spokojnie, jak gaździna oszukiwała męża poza oczy/, stał się już całkiem bezradnym i jeszcze bardziej tego wszystkiego, co się życiem nazywać zwykło, nierozumiejącym. Tak się mu to wszystko pomięszało i złe i dobre, i gorsze i lepsze, i sprawiedliwe i niesprawiedliwe, - że się już doznaku stracił, i, jakby mu omamienie mgłą na oczach siadło, ujrzał się niby przed jaskinią czarną, którą silił się oczyma przebić, czując przy tem, iż gdyby się jego oczom rozwidniła, to już potem wszystko - całe życie - stanie mu się jasnem. Doznaku tak, jak we śnie.

I gdy tak silił wzrok w tę ciemność długo uporczywie - a na płacz mu się już zbierało z tej próżnej niemocy - obaczył nagle przed oczyma smoka który wychylił łeb potworny z czarnego otworu, wywalił na patrzącego ozór taki długi, że jak życie życiem nikt pewnie nie widział takiego ozora, i cofnął się pomału nazad do jaskini. Wyraźnie drwił z Kurzawy.

Wtedy to po pierwszy raz napadła tego dobrotliwego z kośćmi człeka taka złość niespętana, i można jeszcze dodać - taka wściekłość, iż bez momentu namysłu rzucił się ku tej jaskini, aby tę potworę głupią za jednym zamachem zabić, a jeżeli się nie da, to przynajmniej po tej drwiącej mordzie skuć tak, iżby się jej posoka puściła.

Ale cóż, gdy już mocno z tym zamiarem ruszył, wszystko mu naraz zniknęło z przed oczu : i smok , i czarność, i jaskinia - omamienie go odpadło i widział jeno dookoła życie podobne jak przedtem.

Na kimże się tu mścić ?
Z tego zabrał się z gminy, zaszedł na odludne działy, które graniczyły z wsią sąsiednią - a że był głodny i zmęczony, siadł na rozstajnych drogach, i, nie widząc nikogo z ludzi, jeno pustkę, rzekł głośno, z przekonaniem :
- Niema sprawiedliwości.
A potem, gdy sobie, dumając długo, udowodnił na wyraźnych, bo niedawno przeżytych przykładach, iże naprawdę powiedział nie kłamstwo, spytał się znowu tej pustki :
- Co czynić ?
A że go już raz szarpnęło do bitki - choć to była jeno złuda co go napastnęła - tem pilniej ponowiła się tarez ta chętka :
- Chyba iść i prać skraja wszystkich - bez wyjątku ... bo tu każdy coś winien...
Ale, zastanawiając się nad tem, obaczył, iż się to nie da tak łatwo wykonać. Gdyby wszyscy ludzi stanęli przed nim w jednej postaci, naprzykład w postaci smoka, jaki mu się w tem omamieniu pokazał - to rzecz byłaby nietrudna. Ale tak.... po jednemu .... Odrzucił ten zamysł.
Widząc się zaś rzeczywiście na rozstajnych drogach, znowu w bezradzie pomyślał :
- Co czynić ?
Wtedy to odezwały się trzy głosy - każdy z osobna i inaczej - tak, iże mu się nawet mogło zdawać, jakoby trzy postacie różne przed nim stały.
Pierwszy głos mówił :
- Miejże rozsądek człowieczę, i kiedy cię ta gdowa rada widzi, coś zaprzeszłego roku u niej służył, to się z nią ożeń i będziesz miał miejsce. Przecie to szczęście dla ciebie.
Wiesz, jak trudno niemającemu majątku przyżenić się do gruntu. Sam uważ.
Ten głos nie był mu doznaku obcy. Tak, tosamo, baczy, radziła mu życzliwie jakaś niewiasta, czy też kumoszka nawet onej gdowy.
A drugi głos powiadał :
- Jeżeli chcesz mieć długie życie, to strzeż się zwad i bitek. A najlepiej, żebyś pozbył przesądów i ostał kościelnym dziadem.
Ten głos w nim samym się zrodził ; ale Kurzawa najmniej sobie wierzył przeto się nawet nad tym głosem i nie zastanawiał.
A trzeci głos podszeptywał :
- Najlepiej jedź we świat. Świat szeroki, któż zgadnie, możesz natrafić na szczęście. Ani wiesz nawet, co cię czeka. Przytem obaczyć możesze cuda różne....
I ten głos, zdało mu się, choć trochę inakszy, już słyszał gdzieś, od kogoś, niedawno.... Ale ba ! tak - istotnie - od żyda karczmarza, który go w zeszłą dopiero niedzielę namawiał, aby ostał u niego furmanem. Jeździł by jeno po tabak za granicę węgierską, do miasta. Kawał świata.. kraj nowy ... Cóż ono go wtedy cofnęło, że nie przystał ?
I począł myśleć w rozumie, a ten ostatni projekt coraz to bardziej zaczynał mu się podobać. Jedzie sobie, mospanie, parą końmi, jak kmieć na odpust do kościoła... Gościniec bity - osiedla po obu stronach - ciekawość wyziera z okien, gdy przejeżdża.... Dziewki, zwyczajnie najciekawsze.... Niejedna gładka twarz czerwieni się i chowa poza sprzeczki okien, jak ta piwonia w ogródku poza sztachetami. Dolatuje go głos : „Patrzcie ! Kurzawa jedzie ! " On się prostuje na wozie i , jakby go nigdy nic nie obchodziło, zatacza koło biczem, strzela, a konie niosą jak sto djabłów....
I wnet w głosie jego, tem pomyśleniem rozpalonej, wytworzył się taki obraz zacny, iże furmaństwo zdało mu się najszlachetniejszem, ba, najsławniejszem zajęciem, jakie na świecie istnieje - w oczach urosło mu w Sławę, w słowo o wielkiej literze ... Furmaństwo - Państwo - Hetmaństwo .....

Widziało mu się jasnem, niewątpliwem, że właściwie już od dziecka o tem furmaństwie marzył. I naturalnie poszedł za tym głosem. Choć ten głos nie był, jak się już rzekło, wewnętrznym - i, jak widać z powyższych kwiecistych obrazów, tak jeno mógł Kurzawę żyd-karczmarz zachęcać. Ale na to on nie baczył ; niech był ten głos skąd chciał, skoro dobrze doradzał : tak mu się już stanowczo widziało. Powiedzieć można : uwierzył w swoje powołanie.

Poszedł odrazu, najął się i jeszcze w tym dniu przełomowym został jak bezświadomie był marzył, furmanem.

--oo--

Z tych rzeczy, które mu wyobraźnia naprzód malowała spotkał jeno w rzeczywistości gościniec bity i osiedla, nie zawdy po obu stronach. Bicz miał wprawdzie, ale nie umiał zeń strzelać - przekonał się, że i tu trza było sztuki ; ostatecznie mógłby ją był ćwiczeniami nabyć, szkapy jednak miał tak liche, że o jakiemś paradowaniu rycerskiem nie było i pomyślenia.

I dość prędko furmaństwo stało mu się nędzą, słowem o małej literze, jak zresztą każde insze z blizka obaczone państwo - gałgaństwo - cygaństwo....

Wnet też przestał nazywać je swojem od dziecka powołaniem, a nazywał je posępnie swojem przeznaczeniem, zanim z kolei przy ciężkich westchnieniach nie zaczął nazywać je swoją niewolą. Bo to tak naturalnie szło....

Już dawniej, jak się rzekło przyszedł nasz Kurzawa na to, że niema sprawiedliwości ; teraz, jeżdżąc światami, tem wyraźniej to spostrzegał ; najbardziej to zaś uczuwał sam na swojej skórze, choć nie cliwą miał na różne biedy.

Doszło do tego, że zatrzymał raz szkapy na otwartej drodze, jakby mu nagle coś wpadło do głowy, i zapytał się stanowczo :

- Po co ja mam tak jeździć ?

Nikto mu nie odpowiedział. Więc, westchnąwszy dość ciężko, popędził szkapy i ruszył. Jadąc zaś dalej, dumał :

- Tu ktoś winien .....

Już nie myślał, że tu każdy coś winien ", jak przedtem, bo, siebie sprawiedliwym widząc, sądził, że podobnych mu musi być choć trochę ludzi - bowiem inaczej jakożby świat istniał.

Przytem, jako człek w sercu sprawiedliwy, nie miał nigdy takiej pychy, żeby się zgoła inakszym od wszystkich ludzi miał widzieć. Przecie jeżeli nie czem inszem, to siłą swoją mógł się pysznić, a w myśli mu to nie stanęło ; a wzrostu to się nieraz i doprawdy wstydził znalazłszy się na oczach wielu, naprzykład w kościele, gdy klęknąć nie mógł wśród ciżby. Dlatego to winić wszystkich mógł chyba jedynie wtedy, gdy głód mu po katolicku uczciwie pomyślec nie dał.

Jadąc pomału, z przekonaniem coraz to mocniejszem, jakby mu się lżej przezto czyniło, powtarzał w koło :

- Tu ktoś winien .....

I podszepnęło mu niewidzieć co, że winni tu niesprawiedliwi ludzie.

Tego mu właśnie trza było. Takie to proste mu się zdawało, takie nikogo i wielu oskarżające .... W sam raz rzetelna odpowiedź. Wydało mu się wprawdzie, że on już to samo wiedział ; ale teraz mu właśnie trza było, by mu to ktoś przybaczył, i przybaczując, potwierdził, że to tak jest istotnie , nie inaczej.

Dumając nad tem, z gorliwości jeszcze o sprawiedliwość rozszerzył :

- Wszystkiemu winni niesprawiedliwi ludzie.

I w tem już ostatecznem przekonaniu ostał. Ta wiarą mu się taką pełną zdała, taką wszystko tłumaczącą i obejmującą, iż już nic do owych słów dodawać nie myślał. Była to w sam raz dla Kurzawy wiara ; on bowiem zdawna gorliwym był o sprawiedliwość, jeno nie ~~[illegible]~~ znał, skąd jej się krzywda najcięższliwsza dzieje.

Skoro więc poznał, rozgorzał w poczwiem sercu, przeciągnął ciężkie ramiona i poczuł się w sile.

Znalązł wreszcie ostoję dla siebie i oparcie w tem dziwnie pogmatwanem życiu. Chodziło teraz jeno o to, aby podług tej wiary żyć i czynić święcie.

Ku temu przeszkód dużych nie spotykał, ba, okazje sposobne same mu się nawijały, jako dzień za dniem jedzącemu.

I o to jednego dnia napotkał koło karczmy przydrożnej dwie partje bijących się chłopów. Stanął, zlazł pomału z wozu, i okręciwszy lejce kulc luśni, przystąpił poważnie ku nim. Ci obaczywszy przed sobą olbrzyma, gdy nie wiedzieli jeszcze za kim stanie, rozpadli się na dwie strony i zaprzestali bitki. Wtedy Kurzawa począł sąd. Rozpytła się pomału, o co którym chodzi i, rozsądziwszy w swym rozumie sprawę, kazał ludziom sprawiedliwym nie ruszać się z miejsca, sam zaś podszedł ku partji, którą za winną osądził, i począł skraja prać. Jezusie ! Takiego sądu uczciwego jeszcze nikt z ludzi nie widział. Chciał od tych niesprawiedliwych pokarać w miarę ich winy, ale się miara straciła, gdy karę zapoczął. Gorliwość jego ręką kierowała - gorliwość święta, z tyloletniej uwięzi zerwana, zasłaniająca mu oczy na sińce karanych i uszy na ich jęki. Już nikt oporu nie stawiał, a on się jeszcze srożył. Już stracił z oczu ich winę i widział jeno przed sobą niesprawiedliwych ludzi i tych karał za sprawiedliwość cirpiącą, za siebie, - w końcu już nie wiedział za co, gdy mu gniew święty uwagę zatopił. Wreszcie się opamiętał, skoro już nikogo przed sobą nie zauważał, bo niesprawiedliwi wszyscy leżeli jako barany, a sprawiedliwi uciekli przed końcem sądu, bojąc się w przezorności, by się ten olbrzym zjuszony, skończywszy sprawę z tamtymi, ku nim nie zwrócił naostatku w oślepłem zapamiętaniu. Poczem podszedł do wozu pijanym jakby od wzrudzenia krokiem, odkręcił od luśni lejce, wsiadł do półkoszek i pojechał.

Odtąd trafiały mu się częste okazje. Bo już miał oczy wzwyczajone do wyszukiwania ich wśród zgiełku zdarzeń. Nieraz gromady całe napotykał zwłaszcza podczas jarmarków lub wesel, nieraz jeno parę ludzi koło miedz przy drodze, ale tygodnia nie było, aby nie miał sądu ; sądził zaś sposobem prostym, jak się przytoczyło wyżej.

A że , sądząc jedynie z opowiadań ludzkich, pomylił się nieraz i prawdziwie w jakiemś zdarzeniu niewinnych pokarał - ha no, to trudno : ludzka rzecz mylić się w sądach.

I miał Kurzawa zadowolenie w swem sercu i nie czuł już tak ciężko swej niewoli, gdyż żył i czynił podług wiary.

--ooo--

I wiele lat tak jeździł i po drogach sprawiedliwość czynił .

Sława jego rosła z każdym czynem, pełno imienia jego było w okolicy, i nawet w dalsze strony słyna o nim szła, ciekawiąc ludzi, jakby o jakim bohaterze. Poczynali już po stronach mówić, że to niezwyczajny człowiek, i dziwili się wielce jego czynom ; tylko ci mało się dziwili, którzy go znali poprzednio inakszym ; ci powiadali , mrużąc oczy : „My to już wtedy w nim widzieli ".

Sława Kurzawy rosła i szacunek się dla niego szerzył, ale niesprawiedliwość nie malał - ba, niesprawiedliwych ludzi było coraz więcej, jakby się z jego osądów rodzili. Kurzawa coraz mocniej gniewem się ku

nim zapalał i w zapamiętaniu swem nie przyszedł na to, że mu właśnie ci niesprawiedliwi ludzie może bardziej, niż sprawiedliwi potrzebni - bo gdyby ich nie było, cóżby wtedy robił, chcąc dla sprawiedliwości czynić ? Ba przeciwnie - gorliwość gniewna w nim rosła. Zapalał się coraz srodzej w swej świętej wierze i już nie zadawalniał się okazjami jakie mu się po drogach przytrafiały, ale sam począł szukać sposobności, gdzie mógłby niesprawiedliwość pognębić, a niesprawiedliwości pomóc, izby w końcu zapanowała na świecie - bo widziału mu się w sercu, iż to jest celem jego życia. Począł jeździć na jarmarki choć nie miał potrzeby, zapraszać się na wesela bez pomocy drużbów, zachodzić wreszcie do karczmy między zgiełk i ciżbę... A skoro mu się sposobność przydarzyła - sądził. Owa gorliwość zdwajała, ba setniła nieraz jego siłę, tak, że kupy całe gromił, jako on Samson biblijny. I wszyscy już uwierzyli w jego moc nie z tego świata i nikt to zemsty nie śmiał szukać na nim, choć i niejsden pocichu jej pragnął. Ta gorliwość zarówno czyniła rękę jego coraz to mniej lekką, coraz to więcej podobną do młota ; sam już nareszcie wagę siły swojej stracił.

I co się nie wydarzyło .....

Oto jednego pogodnego rana dostał Kurzawa wezwanie do Sądu.

Gdy raz przy okazji gromadę jakąś uśmierzył, któregoś z niesprawiedliwych tak mocno, nie czując ciężkości ręki swojej, nadwerężył, ize mu już do śmierci bardzo niewiele brakowało ; jakieś tam żebra, czy coś z kości miał nadłamanego.

Za to teraz wzywano. Poszedł ochotnie, bo cóż go miało trapić ? Powie im:" Ja dla sprawiedliwości czynił " - i po sądzie. " Sąd też dla sprawiedliwości jest ustanowiony " - dumał.

I bez najmniejszej trwogi jawił się przed sądem. Jakież było jego zdumienie, gdy usłyszał wyrok, skazujący go za zbrodnię / wyraźnie słyszał: za zbrodnię / na trzy miesiące kryminału ! Jakby go kto z nienacka pałką w łeb uderzył.... nie dano mu nawet czasu opamiętać się i wyjść ze zdumienia, jeno go zaraz wepchano do jakiejść ciemnicy, gdzie miał tę karę cierpieć. Tu dopiero ochłonął i mógł się zastanowić.

Teraz to już nic a nic nie rozumiał. Zgłupiał doznaku na piekne. Przecie on dla sprawiedliwości..... a tu znowu w imieniu sprawiedliwości..... Myślał,myślał - dzień i noc, i dłużej - sam nie wiedział, jak długo, bo już czas rachować przestał - i nic zgoła , ani odrobiny z tego wszystkiego nie mógł pojąć.Widział jeno czarność przed oczami i przed rozumem nieprzebitą, jak ścianę, jak mur.

I znowu mu się ta potwora, jaką już raz w omamieniu widział, przedstawiła. Przezdało mu się wyraźnie, że ją widzi w czarnym naprzeciwku kącie, jak się trzyma łabskami za brzuch przeobmierzły i śmieje się tak wstrętnie, że się jej aż pysk drze od jednego ucha do drugiego, a zębska jej się świecą jak te grabie.

Kurzawa już się na to nawet i nie wściekał, jeno odwrócił umęczoną głowę i szepnął z gorzkim wyrzutem / jak dziecko, gdy je pokarzą, a drugie się z niego śmieje/:

- Śmiej, się, śmię .....

I począł aże z tej niemocy płakać. Potwora znikła.

Kurzawa znów , uspokoiwszy się zwolna, zaczął na nowo nad tem wszystkiem myśleć. Zasadzał się stąd i zowąd, aby coś rozumem pojąć - ale na nic, popróżnicy głowę se mozolił. Gdy zaś poczynał uparcie z całem wysileniem dumać, to uczuwał, że mu się coś w rozumie mąci, jakby go obłęd głupi napastował. I dał już spokój głowie - już nie dumał. Siedział bez ruchu i bez żadnego myślenia - drewniał pomału - czasu idącego nie czuł - nic nie czuł, jeno ciężkość na piersiach duszącą, jakby się góra piasku na nie zwiezła, i czarność przed oczami, jak ścianę , jak mur....

Wyszedł nareszcie z więzienia - wrócił do wsi - ale już nie ten Kurzawa. Widoku ludzi się trwożył, zwłaszcza gromad większych, i nieśmiały był bardziej, niż podówczas, gdy u ludzi sługował niewolnie.

Zgarbił się, jakoś zmalał - nikto by go już za olbrzyma nie wziął - osiedla ludzkie omijał z daleka, po boku chodził ze zwiszoną głową, wygląd miał smutny na wejrzenie, jak niedźwiedź po spowiedzi.

Ludzie też, widząc go takim zgnębionym, śmielej poczynli mu zazierać w oczy, ba, dość nierzadko witali go śmiechem. Częstokroć przy nim zwady poczynali na próbę, czy się też wmiesza - ale Kurzawa, jakby całkiem zabaczył o sprawiedliwości, patrzał ponuro na to i usuwał się. Sława, czynami dawnymi zdobyta, pokryła się gdzieś po za ludzkie płoty, ani jej widać, ani słychać nie było.

Niesprawiedliwość podnosiła coraz to wyżej łeb swój nieochrzczony, wreszcie na cały głos tryumfowała.

Kurzawa jeździł szkapami, ze zwieszoną głową, po drogach, po których jeszcze niedawno sprawiedliwość czynił - i tu też, jak przeznaczenie chciało, spotkała go śmierć.

O to bowiem ci wszyscy przez niego dawniej sądzeni - a było ich dość sprawnie, bo coś przeszło nad stu - zmówili się w jednym czasie i, zastąpiwszy mu drogę, zabili. / Nec Hercules / ....

Odtąd sprawiedliwości niema w gminie Jurgów. Ale sława Kurzawy zaczyna się powoli przywracać. Ba ! nawet ci, których on za życia sądził, a którzy go za to potem / słusznie, jak powiadali ludzie/ uśmiercili zaczynają przemyśliwać nawet dość naprawdę : czyby go na ten przykład nie ogłosić świętym ?

Władysł. Orkan.

Opowieść o płanetniku.

Zwątpiwszy ostatkiem w oświatę, jaką z miast przez kalendarze i inne „macierze polskie" gwałtownie raz do roku (niby w śmigus pachnącą nieczystością) na łby niemensane rozlewano, w pewnej wsi niebardzo znanej, które jeszcze nie wymarło doznaku tytus, gazdowie trapiący się przeprósznemy życiem i szukający nadaremnie jakiegoś oparcia, zgromadzali się wieczorami w izbie mało jasnej i oświecali się sami (dziwny sposób) przez wiązanie z życia opowieści, jakie wygrzebie z gołemi ... ale jeden lub drugi podawał.

Więc w jeden wieczór Szymek z Konica taką opowieść przytoczył:

„Niedaleko od nas, bo koło góry św. Jana, ludzie dobrzy, zamożni, których tam zowią kmiecie, chowali sobie w domu płanetnika. I czuli się bezpieczni przed burzą: nie obawiali się już, że im grad zboże pozniszczy, ulewa ziemniaki wypłucze, bo ich o tem uprzedzał sam, gdy go w gościnę radzi przyjmowali, chociaż — mówmy — z niejaką obawą, jako wyjątkowe istotę najwyższą przed Tatrami. Ale i powoli z dnia na dzień oswajali się z nim jakoś i tak się wreszcie doń przyzwyczaili, że nie czuli już najlżejszej obawy przy nim, natomiast mieli w sercach raj i spokój taki, jakiego nigdy przedtem nie miewali. Zazdrościli im wszyscy ludzie dookoła, i pewnie byliby im tego płanetnika obietnicami do siebie zwabili, gdyby ich ta myśl nie odpała, że, gdy burza nadejdzie, a on ją zażegna, to przecie i ich gromada się przytem ocali, jako ...

Ciekawiście, jak wyglądał ten ich chowany płanetnik? Był to panek dość zgrabny i w odzieniu czarniawem, jakie się na panach widzi. Zresztą nie miał na pozór nic dziwnego w sobie. Przyszedł raz do nich jak wędrownik, a na pytanie: co robi, z czem się zajmuje? — powiedział, iż burze zażegnuje. Któżby inny mógł być jak nie płanetnik? — dumali i przyjęli go ochotnie w gościnę.

a tak się i skorzysta i kosztów się nie poniesie żadnych na chowanie. Niech sobie go tam chowają."

Chowali go też ci Kurecie, czem mogli najlepszem, bo i gryzmasija był bardzo. Jajecznicę mu smażyli, zacierkę z bielutkiej mąki na mleku słodkiem przyrządzali — no słowem: miał opiekę, jakby sam jaśniej przedstawicielami plebani nie ma takiej od swojej gospodyni. I szanowali go wszyscy, nawet nieledwie gdy spał w świetlicy, to na palcach przez sień przechodzili, drzwi, które skrzypiały, w piekarni nie domykali, kury gdaczące na ten czas z kojca wynosili, świń o tym czasie do izby nie puszczali — nikt chyba już tak nikogo nigdy nie szanował.

I dobrze temu planetnikowi tam było — sam nawet mówił, że mu dobrze. Ciężkiemi działami nic nie robił — święty miał czas — wolne święto. Jeno czasem przychodziła na niego planeta. No, wyczynia u planetnika. Cóż się dziwić? Wyjaśniali, gdy mgły schodziły od wierchów w doliny. (We mgłach on jeno lubiał chadzać) wtedy szedł w pole w swoim wiatrznym płaszczu — i kto wie, co tam nie robił, bo się bali za nim daleko w pole wyzierać, swoje sprawy czyni — powiadali. I dowiadywali się wieczorami od wystraszonych pasterzy, iż mgłę do torby wrał i nosił ją na wierch wysoki, tam, jakby w chmurze kule ze śniegu robił i ciskał je, bawiąc się niby, nieraz do środka, to znowu, iże w potoku wodę kijem bił dotąd, pokąd się w lód nie ścięła i inne jeszcze dziwne historye.

Po takich pracach gdy wracał, zmęczony był bardzo.

To też ciepluchniej stroili mu, co mieli jeno najlepszego. Jadł i spał potem, że ludzie byli spokojni.

I tak czas szczęśliwie mijał, przechodziło już i lato, a o burzy ani słychu. Nigdy się tak szczęśliwie żniwa nie zapowiadały.

Poczynali się już i ludzie dalsi zwiadywać (bo słynna siła) o tego płanetnika i czyby do nich na zimę nie przyjechał, dumając w swych rozumach, że oni kmiecie, którzy go chowają, chętnie go na zimę puszczą (jako że w zimie o burze obawy nie ma), a oni już - co stracą, to stracą - ti zimujże go, na lato sobie zapewnią jego opiekę i wdzięczność - może i na dalej - kto wie - przyszłość taka niepewna...

ale oni dobrzy ludzie ani przykładać sobie do myśli nie dali, iżby musieli takiego gościa pozbyć. „Jeszcze my go tu i [illegible]" – powiadali. Za nic by sobie tego spokoju nie dali odebrać, jakim ich napawał on, w domu ich bawiący. „Oto jak żyjem, żyjem takiego lata cichego nie było. Co dziś zmogli na niebie – to się rozpogodzi. Wszystko, drogi Jezu, rośnie i bez ochody na polu dojrzewa. Co to, widzicie, mamy i mieć moc albo władzę…" „A co to znaczy mieć taką władzę w sobie!" Już poczynali [illegible] swojego planetnika" i jak go [illegible] nazywali.

I [illegible] w takiej spokojności czas upłynął [illegible] [illegible] się [illegible]. Ludzie się i nie kwapili do robót [illegible] Aż tu jednego dnia przyjeżdża [illegible], którą [illegible] [illegible] do podwoje izby i powiada, iże słyszała grzmot w chmurze. Zrazu nie wierzyli jej i wyszli stanąć. I obaczyli na oczy [illegible] na zachodzie noc w oddali wielkiej i ujrzeli [illegible] [illegible] przelatujące się po niebie grzmota. Zatrwożyli się ich to trochę więcej jednak ze zwyczaju, niż z prawdziwej obawy. Przecie chowają planetnika. Weszli na powrót do izby, przechodząc przez sień, zajrzeli przez szparę do świetlicy, aby się upewnić w szczerze, iż jest on w domu i obaczyli go śpiącego, więc spokojnie powiedli na świat swoich. Ale po niedługim czasie odgłos grzmotu do izby doleciał, i ściany nawet, widziało się, zadrżały przy tym odgłosie. Nie mogli dłużej go usiedzieć spokojnie i znowu wyszli patrzeć. Czarna noc zbliżyła się – widać było wyraźnie [illegible], [illegible] się ceglaste chmury. A w tych chmurach tak [illegible], jakby tysiące ptaków gdzieś górą leciały, albo jakby się potoki [illegible] w jeden [illegible] wodospad. Groza oszła od tego szumu. A tu już i błyskawice [illegible] się pokazywały – różne [illegible] ogniste [illegible] – i grzmot się toczył bez ustanku. Wtedy poczęli mówić jeden do drugiego.

Kuceć miał się zapytać, na co — ale odwagi nie pozbierał, by się spierała pytanie jako zdo nie stało — poszedł pośpiesznie do komory, przyniósł [illegible] i położył je pod obrazem [illegible].

między sobą: „Trzeba go obudzić." A żadne nie śmiało, do świetlicy iść, żadne nie chciało pokazywać trwogi. W końcu, widząc już, że niepełno, że chmura już pół nieba zajęła, zdecydował się sam Kuceć i wszedł niespodziewanie do świetlicy. Płanetnik już nie spał.

„Tere, widzicie jako — powie Kuceć z jąkaniem — bo już, dziwię, co się dzieje!.." „Wiedzę — odrzekł płanetnik i [illegible] mamże i na otwór [illegible] 50 koron..." i powstał się ubierać. Spokój, z jakim się ubierał, (płanetnik) otuchy wlał nieporównaną wiarę w serca kmieciów, — wyszedł i (uspokojony) zwołał domowników do izby, gdzie znowu na ławach posiedli ze spokojności serc swoich czekali. Dziwnej byliby, trwogą ogarnięci, dzwonili dzwonkiem loretańskim, chleba świętej Agaty rzucaliby na ogień, by sypki [illegible], a gdyby to nie pomogło, to popadaliby na klęczki, zamknąwszy pierwej wszystkie drzwi i okna i wołaliby w ostatniej ufności, w jednym ogólnym: „Święty Boże!" A teraz oto nic im z tego wszystkiego na myśl nawet nie przyszło, jeno poczekali z ciekawością przez uchylone nieco drzwi piekarni, które umyślnie ktoś nie domknął, ku świetlicy: co on tam robi, czy już czyni, czy już zażegnuje..

A płanetnik, ubrany też porozbierany rzeczy swoje, których nie miał wiele, bo jeno kij, torbę na [illegible] i ów pierścień wielkim podany, stanął, pomyślał trochę, schowany [illegible] i wyszedł. A widzieli go, jak wychodził, i choć ciekawość ich rwała, nie mieli odwagi za nim na pole iść. A już czas był najwyższy, bo burza była już tuż prawie.

Modliwy — jak przyszedł grad, to zbił tak wszystko doszczętu, że nie mieli ludzie dobrze co po gradzie zbierać. Wytrzepał wszystko — do imentu!

Takiego [illegible] doczekali. [illegible] doczekali

Długie po tej opowieści Jagustka nastało milczenie. Już dawno skończyli fajki, wzdychali głośno, rozważali. W końcu Cyrek od kościoła, siedzący najdalej, w kącie, wyjmując fajkę z zębów, splunął i odezwał się cichowo, smutnie:

— Ono ta tak. I dziś są tacy płanetnicy, który się tem przechwalają, że burzę potrafią zażegnać, gdy padnie. A gdy coś burza nadejdzie — strach ich — a kto ich chowa... Ono ta tak...

I znowu się cicho zrobiło, jeno stękania czyjeś, a czytanie przez sen słychać było. Nikt z nich jakoś nie śmiał nowej podawać opowieści.

wychodził, i, choć ciekawość ich rwała, nie mieli odwagi za nim na pole iść. A już był czas najwyższy, bo burza była już tuż prawie.

Mościewy – jak przyszedł grad, to zbił tak wszystko doznaku, że nie mieli ludzie dobrzy co po gradzie zbierać. Wytrzepał wszystko do imentu!..

Takiego się to cudu dochowali."

Długie po tej opowieści Szymka nastało milczenie. Gazdowie kurzyli fajki, sapali głośno, rozważali. W końcu Cyrek od Kościoła, siedzący najdalej w kącie, wyjął fajczynę z zębów, splunął i odezwał się cichawo, zwolna:

– Ono ta tak... ~~Idzi jest płanetników~~ Wielu jest takich płanetników, co się przechwalają, że burzę potrafią zażegnać, gdy padnie. Skoro zaś burza nadejdzie – stracą się. A lud ich chowa... Ono ta tak...

I znowu się cicho uczyniło. Jeno sapania cięższe, a pykania z fajek

Szanowny Redaktorze!

Przesyłam w załączeniu przyrzeczoną do noworocznego Wm̄ nowelkę. Proszę przytem o wstrzymanie wysyłania Wm̄ do Poręby. Przysłał mi Tow. Galica, iż zdobył Szan. Redakcji recenzyę o moich poezyi. Proszę więc ten numer „[illegible]", w którym owe recenzye były lub będzie i ten z niniejszą „Opowieścią" – potem wysłać takowe pod adresem: Suisse – Blonay (sur Vevey) – pension Mme Bürki, gdzie dłużej czas ostanę.

Z serdecznem pozdrowieniem

Władysław Orkan.

2/ Wtedy też zaczął narzucić to [illegible] od dziecka powołaniem, a narzucił je pozostałym jako przeznaczeniem, zarazem z kolei przyszłych wieków. Musiemy raczej narzucić je swoją niewolą.

3/ Idzie prędko furmaństwo stąd [illegible] nędzą, słowem o naszej literze, jak każde inne zbliżone obaczone pacistwo – gałganiarstwo – cyganiarstwo...

OPOWIEŚĆ O PŁANETNIKU.

Zwątpiwszy całkiem w oświatę, jaką z miest przez kalendarze i insze „macierze polskie" gwałtpwnie raz do roku / niby w śmigus pachnącą" nieczystość/ na łby nieuczesane rozlewano, w pewnej wsi, niebardzo znanej, którą jeszcze nie wymarła doznaku na tyfus, gazdowie trapiący się po próżnicy życiem i szukający nadaremnie jakiegoś oparcia, zgromadzali się wieczorami w izbię mało jasnej i oświecali się sami / dziwny sposób !/ przez różne z życia opowieści, jakie zwyczajnie ogólnej uwadze jeden lub drugi podawał.

Więc w jeden wieczór Szymek z Końca taką opowieść przytoczył :

„Niedaleko od nas, bo koło góry św. Jana ludzie dobrzy, zamożni, których tam zwią kmiecie, chowali sobie w domu płanętnika, i czulį się bezpieczni przed burzą : nie obawiali się już, że im grad zboże poniszczy, ulewa ziemniaki spłuc e, bo ich o tem zapewnił sam, gdy go w gościnę radzi przyjmowali, chociaż - można rzec - z niejaką obawą, jaką zwyczajnie człowiek zwykły czuje przed takimi.

Ciekawiście, jak wyglądał ten ich chowany płanetnik ? Był to panek dość zgrabny, i w odzieniu czarniawem, jakie się na panach widzi. Zresztą nie miał na pozór nic dziwnego w sobie. Przyszedł raz do nich jak wędrownik i, na pytanie : co robi ? czem się zajmuje ? - powiadał, iż burze zażegnuje. „Któżby inszy mógł być, jak nie płanetnik ?" -dumali, i przyjęcli go" ochotnie w gościnę.

No i pomału z dnia na dzień oswajali się z nim jakoś, i tak się wreszcie doń przyzwyczaili, że już nie czuli nijakiej obawy przy nim, natomiast mieli w sercach raj i spokój taki, jakiego nigdy przedtem nie miewali.

Zazdrościli im wszyscy ludzie dookoła i pewnie byliby im tego płanetnika obietnicami do siebie zwabili, gdyby ich ta myśl nie cofała, że gdy burza nadejdzie, a on ją zażegna, to przecież i ich grunta ocalą się przytem, jako o miedzę sąsiednie.... A tak się i skorzysta i kosztów nie poniesie żadnych na chowanie. „Niech sobie go tam chowają ".

Chowali go też ci kmiecie, czem mogli najlepszem, bo i grymaśny był bardzo. Jajecznicę mu smażyli, zacierkę z bielutkiej mąki na mleku słodkiem przyrządzali, no słowem miał opiekę, - jakby wam jaśniej przedstawić ? - ani pleban nie ma takiej od swojej gospodyni. I szanowali go wszyscy nawet czeladź ; gdy spał w świetlicy, to na palcach przez sień chodzili, drzwi, które skrzypiały w piekarni, nie dowierali, kury gdaczące na ten czas wynosili z kojca, świń o tym czasie do izb nie wpuszczali - niktby już chyba tak nikogo nigdy nie szanował.

I dobrze temu płanetnikowi tam było - sam nawet mówił, że mu dobrze. Całymi dniami nic nie robił - święty miał czas - wsze święto-.

Jeno czasem przychodziła na niego płaneta. No zwyczajnie u płanetnika. Cóż się dziwić ? Najczęściej, gdy mgły schodziły od wierchów w doliny. / We mgłach on jeno lubiał chadzać /. wtedy szedł w pole w swoim wietrznym płaszczu - i kto wie, co tam nie robił - bo się bali za nim w pole daleko wyzierać. „Swoje sprawy czynį" powiadali. I dowiadywali się wieczorami od wystraszonych pasterzy, iż mgłę do torby brał i nosił ją na wierch wysoki - , tam jakby w chmurze, kule ze śniegu robił i tulał je, bawiąc się niby, nieraz do śródwieczerze - to znowu, iże w potoku wodę bił kijem dotąd, pokąd się w ~~lodzie~~ lód nie ścięła - i insze jeszcze dziwne historje.

Po takich praca, gdy wracał, zmęczony był bardzo. To też czempilniej stroili mu, co mieli jeno najlepszego. Jadł i spał potem, a ludzie byli spokojni.

I tak czas święcie mijał, przechodziło już i lato, a o burzy ani słychu. Nigdy się tak szczęśliwie żniwa nie zapowiadały.

Poczynali się już i ludzie dalsi zwiadywać / bo słyna szła/
o tego płanetnika : czyby do nich na zimę nie przyszedł,
dumając w swych rozumach, że owi kmiecie którzy go chowają, chęt-
nie go na zimę puszczą, / jako, że w zimie o burze obawy niema,
a oni już, co stracą to stracą - to zimując go, na lato sobie
zapewniają jego opiekę i wdzięczność - może i na dalej - kto wie .
przyszłość taka nie pewna....
Ale owi dobrzy ludzie ani przykładać sobie do myśli nie dali,
iżby mieli pozbyć się takiego drogiego gościa. Już my go tu
i wyzimujemy " - powiadali. Za nic by sobie tego spokoju nie da-
li odebrać, jakim ich napawał on, w domu bawiący. Oto jak życie
życiem, takiego lata cichego nie było. Co się magli na niebie,
to się rozpogodzi. Wszystko dzięki jemu / dawniej : dzięki Bogu/
rośnie i bez szkody na polu dojrzewa. Co to , widzicie, znaczy,
mieć moc, albo władzę .....A co to znaczy mieć taką władzę u
siebie ! "Już poczynali się pysznić swoim płanetnikiem ", jak
go po domowemu przed obcymi zwali. "
I w takiej pokojności świętej czas upływał, żniwa się wolno
poczynały. Ludzie się i nie śpieszyli ze żniwem, jak po insze
roki gdy trza było kraść czasowi ze radka sposobne chwi-
le. Widzieli same pogodne dni przed sobą.
Aż tu jednego przypołudnia przybiega służąca, która na
miedzy na wzgórzu trawę krowom do podoju żęła, i zadyszana,
powiada, iże słyszała grzmot w chmurze. Zrazu nie wierzyli jej
i wyszli słuchać. I obaczyli na oczy czarną na zachodzie noc w od-
dali wielkiej i usłyszeli echo głuche przetaczającego się po nie-
bie grzmotu. Zatrwożyło ich to trochę, więcej jednak ze zwyczaju,
niż z prawdziwej gazdowskiej obawy o siana. Przecie chowają pła-
netnika. Weszli napowrót do izby, a przechodząc przez sień, zajrze-
li przez szparę do świetlicy , aby się upewnić w sercach, iż on
jest w domu ; i obaczyli go śpiącego, więc tem spokojniej posiedli
na ławach swoich. Ba - po niedługim czasie odgłos grzmotu do izby
doleciał, i ściany nawet, widziało się, zadrżały przy tym odgłosie
Nie mogli długo usiedzieć spokojnie i znowu wyszli patrzeć. Czar-
na noc zbliżyła się, - widać było wyraźnie chmury kotłujące .
A w tych chmurach tak szumiało, jakby tysiące ptaków gdzieś górą l
leciały, albo jakby się potoki zeszły w jeden huczący wodospad.
Groza szła od tego szumu. A tu już i błyskawice oczom się pokazywa-
ły - różne łańcuchy ogniste i krzyże - i grzmot się toczył bez
ustanku. Wtedy poczęli mówić między sobą : Trza by go zbudzić "
Ale żadne nie miało śmiałości iść, żadne nie chciało pokazywać
trwogi. W końcu , widząc już , że niepeć, że chmura już pół
nieba zajęła, zdecydował się sam kmieć i wszedł nieśmiało do świet
licy. Płanetnik już niespał. Też róbcie jako " - począł kmieć
z jąkaniem - bo widzicie cą się dzieje " .....
Widzę " -"odrzekł płanetnik - Macie zaraz tu na oknie poło-
żyć pięćdziesiąt koron " .... i począł się powoli zbierać.
Kmieć miał się zapytać:na co ? - ale odłożył na później, by
się przez to pytanie jakie zło nie stało. Poszedł posłusznie do
komory, przyniósł pięćdziesiątkę i położył ją na wskazanem
miejscu.
Spokój, z jakim się płanetnik ubierał, wlał napowrót wiarę
w serce kmiecia - wyszedł uspokojony, zwołał domowników do izby,
gdzie znowu na ławach posiedli i w spokojności serc swoich cze-
kali. Dawniej byliby trwogą ogarnięci, szukali dzwonków loretań-
skich, chleba świętej Agaty , mąkę na ogień by sypali, a gdyby
to nie pomogło, to popadali by na klęczki , zamknąwszy pierwej
wszystkie drzwi i okna, i wołaliby w ostatniej ufności, w płaczu
ogólnym : Święty Boże " ! ". A teraz nic im z tego wszystkiego
namyśl nawet nie przyszło, jeno pozierali z ciekawością przez

uchylone nieco drzwi piekarni, których umyślnie ktoś nie domknął, ku świetlicy : co on tam robi, czy już czyni, czy już zażegnuje ...

A płanetnik , ubrawszy się , schowawszy ową pięćdziesiątkę i pozbierawszy rzeczy swoje, których nie miał wiele, bo jeno kij, torbę na mgłę i ów płaszcz wiatrem podszyty - stanął, pomyślał trochę - i wyszedł. Widzieli go jak wychodził, i, choć ciekawość ich rwała, nie mieli odwagi za nim na pole iść. A już czas był najwyższy, bo burza była już tuż prawie.....

Moiściewy - jak przyszedł grad, to zbił tak wszystko do znaku, że nie mieli ludzie dobrzy co po gradzie zbierać. Wytrzepał wszystko do imentu. !

Takiego się to cudu z niego dochowali ".

Długie po tej opowieści Szymka nastało milczenie. Gazdowie kurzyli fajki, wzdychali głośno, rozważali. W końcu Cyrek od kościoła, siedzący najdalej w kącie, wyjąwszy fajczynę z zębów, splunął i odezwał się cichawo, zwolna :

- Ono ta tak ... I dziś są tący płanetnicy, którzy sie tem przechwalają, że burzę potrafią zażegnać, gdy padnie. A lud ich chowa. Ono ta tak ....

I znowu się cicho uczyniło. Jeno sapania ciężkie a pykania z fajek słychać było. Nikto z nich jakoś nie myślał już nowej podawać opowieści.

30

O Wojtku, którego na Szczepana przekręcili.

Sam o tem, już jako Szczepan, tak ludziom dobrym opowiadał:

„Dwóch nas matusia mieli. Było tam jeszcze coś, jak powiadali, ale to się nie doczekało chrztu świętego. Mnie było Wojtek na imię, a bratu starszemu Szczepan. Tatuś pomarli zawczasu, i my z matusią gazdowali. Szczepanowi przyszły roki, że musiał stawać do odbiórki, i za drugim razem z wiosną odebrali go do wojska. Miał już na pewno iść... ale matusia nie chcieli, żeby on do wojska odposzedł, bo im wadził bardziej, niż ja, przy gospodarstwie potrzebny, i kochali go bardziej, niż mnie, już od samego czasu. I jak wzięli chodzić do powiatu, do urzędów, do wójtów, do pisarzów — jak wzięli kręcić i kręcić, tak mnie na Szczepana przekręcili... niby jako Szczepan musiałech do wojska pójście.”

Nie wie się zgoła, jak mu tam przy tym wojsku było, bo na jego opowieści aż trudno się oprzeć — dość, że trzy roki wcześnie do końca dosłużył i do wsi po zwolnieniu ze służby powrócił.

Ale, jakby mu tam co złego zadali — już się chałupy nie trzymał. Jak gdy go coś odbiło od domu... Marsze odbywał — krótkie albo dłuższe, zabierając od dnia i pogody — pasterzy, gdzie napotkał, zawsze jął exercyrować, lecz najochoczej, trzyj rad biegał po polach, nie bacząc na zgoła szkody, a gdy mu kto zwracał uwagę, co robi, odpowiadał z namaszczeniem, że „cesarskie manewry” odprawia... Jeden był już nie umiał w rozumie, jakiego durniejszego ludzie u niego widzieli: broda mu ogromnie straszna.

O czem gdy się dowiedzieli we wsi, jak wzięła lekkomyślna dzieciarnia — już nie miał od niej spokoju. Wszędzie go jak przy ... zajęca, prześladowała.

Wodzi go zawsze pomiędzy wsi.

— Podaj no tam Józek, podaj no tam noża!

2

Wchodzi za próg do izby – tuż już nóż na pasku ostrzą. [illegible] nie zdołał, „pochwalony”, tak wartko w pole nawrócał. Najchętniej też trzymał się otwarte go pole, gdzie mógł przed zasadzkami ujść łacno – tak [illegible], jak zając płoszony. I najczęściej w tej wolności po stepach nocował, a latem to i pomiędzy żytami – bo gdzie ino na nocleg do osiedli zaszedł, w złe [illegible] odstraszali go tymi nożami. Nie mówi się [illegible] o [illegible] [illegible], gdy obaczył, to mało że szkody nie wyrządził – tak się jej widoku lękał. I w ogóle wszelakie ostre żelaziwo, które on „bronią” nazywał, tak go okrutnie straszyło. – Kto miał tę „broń” przy sobie, to już nie był dlań niczym we wsi, już go nie rozpoznawał nijak – był zły w jego obrazie wróg jakiś, na życie jego nastający. I gdy go kto zestraszył, tak się zmieniał, że prawie że nie tym był człowiekiem… jakby go co w tym strachu zmówiło na innego przeobrażało… Oczy wytrzeszczone, twarz blada, a mowa mu się tak zmieniała, że nikt by go po niej nie rozeznał: nawet sobie, [illegible], brzmiał inaczej, niż we wszystkiej gwarze…

Stroskany, dziczał ponadto – i dróg nawet już ludzkich nie trzymał, więcej polami chadzał, ulicami, którymi gonił się na pasy. Lecz i tu nie był domaku bezpieczny.

— I cóż nie? Kiedy tak było, a tu nie wypadało, bo jakże... ~~[illegible]~~ Co „cesarskie", to cesarskie. Choć się może wydać głupie, to... któż może odgadnąć? mogłaby z tego być jaka obraza. Lepiej już zawdy nic nie potrzebować.

Tak se dumając, że w domach ~~po [illegible]~~, omyjeli go gazdy ~~[illegible]~~ gazdowie ~~[illegible], mimo tych szkód, jakie im przy tych „[illegible]"~~ i drugich pochwał nie robili, mimo tych szkód, jakie im się w oczach działy, i czasem ta jeno niektóry krzykiem go ~~[illegible] [illegible]~~ przegnał od skotyny na ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ przestrzeń swobodniejszą.

Suisse.
Blonay (sur Vevey)
chez Mme Bürki.
D: 11/I 907.

Kochany Panie Feliksie!

Ot wszystko...

„Zdarzyło się raz: szedł ulicą krokiem żołnierskim, wyprężonym, aż tu słyszy przeraźliwe „stój!” i widzi przed sobą rycerza (każdy chłopak wszędzie rycerzem mu się wydawał), który wyjmuje broń (kozik) z zapasa i zbliża się groźnie ku niemu. Szczepan zmartwiał z przestrachu, potem wystrzelił naprzód w ucieczki. Ba — a z tej strony jeszcze gorsze niebezpieczeństwo. Oto jedzie jakiś rycerz z czterema siwcami (chłopczyna jakiś wiózł, widać, szczapy z lasa bryczkami), z bronią na ramieniu i dzierżąc... że wyraźnie z niedobrymi zamiarami na wojownika... Szczepan już nie wiedział, co ma robić. Ulica owa była wyryta głęboko i jeszcze płotem ogrodzona. A tu z dwóch stron nieprzyjaciel..., po długim namyśle się mało — zwrócił się znowu ku pierwszemu. Ten, widząc trwogę Szczepana, podnosi głos straszny: „Tu musisz zginąć!” — i wyjmuje „broń”! Szczepan w niebezpieczeństwie ostatecznym zbywa się trwogi, pada na kolana i porusza trwogą serce „wroga”: „Wiesz ty... ja twojej Ojczyzny bronię! Ja krew dla ciebie przelewam! ... Ośmiu, ich w bitwach nie zginęło... czy ty to pojmujesz?! Uderz w pierś moją” — tu odsłonił nakłaniając koszulę — „jeśli masz serce... uderz! Tu tysiąc kul mierzyło... A te rany!” — pokazuje blizny na ramionach — „o, patrz! Wiesz, dla kogo te rany? Dla ciebie, tak szlachetny rycerzu — dla ciebie! i dla Ojczyzny Twojej!...” Masz rozumienie?...; aż chłopak... przepuścił go ulicą.

W tym podobieństwie jeszcze długo mówił, aż chłopak, aż od śmiechu zesłabły, przepuścił go ulicą.

I niejeden raz podobnie się zdarzało.

XXV 2

(3)

~~Było tak...~~ Raz nam kazali za-
brać wszystko, ~~od gwoździa do ...~~ całą ~~...~~ zbroję swoją, i
~~iść~~ maszerować na ~~...~~ manewry, bo tam nieprzyjaciel czekał...
~~Trudno, moi kochani, jak wojna to wojna.~~ Zabrali my się wszystkie,
coby nieprzyjaciel tymczasem nie uciekł, i szliśmy po-
lami ~~...~~, obchodząc drogi z daleka, ~~coby~~ aby go
zajść z niespodzianka. ~~Kiedy były najgorsze upały, abo~~
~~notaki, to nam kazali biegać, żeby nam nogi nie po-~~
~~więzły. Czasem spocili się my tak, co aż strach.~~ Spoc-
ili my się strasznie, ale i to się widziało jednora-
tym, co z nami na koniach jechali, że za powoli idzie-
my, bo nas co chwila przynaglili, a czasem krzyczeli
też, co aż wystarczy. Niejeden żołnierz nie wytrzymał-
bo i upał był okrutny – zwłaszcza, jak przyszło iść po
~~...~~ piachach, gdzie nogi więzły po kostki. To też dużo
pozostało, i zabierali ich na wóz. Ale my coś wytrzy-
mali, bo wiemy sami jednomyślnie z nieprzyjacielem
zrobili, jakby my wszyscy pozostali – aż doszliśmy do
jakiejś wsi, gdzie nam kazali nocować. Przeczytali
nam głośno, ~~po jaki numer~~ który pod jaki numer
ma się udać ~~...~~ i kazali nam iść na kwatery.
Ja też poszedł szukać tej ~~swojej~~ kwatery. ~~Ale czy ja to~~
~~numery znam? ...~~ Dali każdemu
numero i kazali ~~...~~ mu kwatery podług tego numeru szukać. Ja ~~też~~
poszedł ją szukać tej swojej kwatery – ale czy ją to
numera znam? Naturalnie ~~...~~ się jeno popróżnicy zwrócił
coż było robić? noc ~~...~~ już przyszła domy ~~...~~
i kwater nie było widać – poszedł w pola i między
żyta i położył się spać w całej zbroi... ~~...~~ Zbu-
dził się dopiero, skoro na zbiórkę ~~...~~ zatrąbili.

Zerwał się co tchu i, zdyszany, ~~przybiegł do~~
przylatuję i staję w rzędzie ze innymi. ~~...~~
~~...~~ Kazali mi ~~...~~ czekać... Nie
wiem, co im się na mnie widziało, ~~bo mię opatrowali dookoła~~
czy to, że mię nosa przynadzie, czy co innego – bo mię opatro-
wali dookoła i potem... ~~...~~ bliżej... wstyd mówić... kiero,

O Wojciechu, którego na Szczepana przechrzcili.

Sam o tem, już jako Szczepan, tak ludziom dobrym opowiadał:

. . . . . .

I poszedł jako Szczepan do wojska. Nie wiedzieć, jak mu tam było, dość, że trzy lata wysłużył, i do wsi po zwolnieniu ze służby powrócił.

Ale już się chałupy nie trzymał — jakby go coś odbiło od domu, albo nim ktoś co zadał złego. [illegible] — pasterzy i gdzie napotkał, „ekscyrował”, najczęściej biegał po polach, jak podczas manewrów. [illegible] błąd w rozumie: noża się bał okrutnie. Ociec gdy się dowiedział we wsi, jak wszyscy, lekkomyślnie, ~~[illegible]~~ zawiedziała, już nie miał od niej spokoju. Wszędzie go temi nożami prześladowali. ~~[illegible]~~ Przychodzi do jakiejś izby, a tu już nóż na pasku ostrzą. Nie zdołał. Pochwycony wyrzec, żeby wartko nawracać. Przychodził ~~[illegible]~~, do tego, że po snopkach nocował, a latem to i gdziebądź w polu — bo gdzie bądź na nocleg zaszedł, odstraszyli go temi nożami. Nie mówiąc już o [illegible]. [illegible], gdy wyprawi, to mało ze skóry nie wyskoczył: [illegible] się [illegible] bać. I w ogóle, wszelakie żelaziwo, które on „bronią” nazywał, ~~tak~~ straszyło go niepomiernie. Strwożony ~~[illegible]~~ i drogą już nie trzymał ~~[illegible]~~, więcej polami chadzał, ulicami, którem było gdzie się na pasy — ale i tu nie był dokumentnie bezpieczny.

Zdarzyło się raz, iż... (spotkanie w ulicy)

(1) 4/ . . . . . . //

Czasem jakaś litościwa gosposia, u której nie było nikogo takiego, coby go „bronią” odstraszył, przyjęła go do domu na czas jakiś; ~~[illegible]~~ to robił, pomagał jej, ~~[illegible]~~

całym odtrąconym sercem i nie widać było po nim, aby mu coś wyraźnie brakowało. Ale niech jeno kto przypadkiem z żartu mu pokazał – już go nie utrzymało. Uciekł w pole i już się nie nawinął do spotkanego kogoś, kto mu wypomniał: „Nie dobrze ci tam było – nie mógłeś tam ostać?" lub podobnie znaczący – powiedział:

„Ani widoku, co go przymodlić może trafić'... Gotowi nocą zarznąć.. co innego!" [illegible]

①

② . . . . .

Pytała też któraś z kobiet, bo te go jeno litowały, zapytała go:

– Jakże ci tam, Wojtuś, przy tym wojsku było?

– On na to z pewną przechwałką:

– He! he! ja już nie Wojtek! ja Szczepan!

– No to, Szczepanku, jak to tam przy tym wojsku było? Opowiedz no nam choć niecoś...

Wydawał się dziwnie poważny, ochotnie opowiedział.

– ~~Było tak... (nic szczególnego – nic ważnego – nic ciekawego)~~

③ . . . . . V V V . . . .

V Tobie historye z wojska mał podobnych jeno. Znali te historye ludzie, bo wiem że je od swego odgrywali – mimo to, nakłaniali go, by opowiedział i aby był śmiech.

Zwracał też ktoś z gospodyń przestrzegał go też, Tobiasze.

– E, Wojtuś, czy ten Szczepanku, przyda ci się tak chodzić pomiędzy ludzi. Masz kawałek – posiedziałbyś i siedział na nim. (Bo mu w testamencie ostawili kawałek)

– Jeszcze będę siedział na nim, kiedy kiej śmierć...

I odszedł. Najwcześniej na ten kawałek śnieg opadał – bo był pod samym lasem, w polu, czyj ubogi – a i na wiosnę najpóźniej ten śnieg [illegible], że gdy ostatni rosy zlazł z niego, już zielono było wszędzie. [illegible]

V

(2) – Bajże, baj! Któż by się tam zarzynał? coby komu z tego przyszło?

– Ho! Ale wiecie, co kto myśli? Coż przyjdzie z tego, że ludziom [illegible] bydź [illegible] a bydź...

– Bo jak kto zawini... Ale coż ty komu wadzisz?

– Nic nikomu nie wadzę, ale ktoś wie... czasem się ludzkom zawinić, a karać go... nierownie [illegible] się nie pyta, [illegible] ba... bydź!.. na śmierć bydź...

– Tak. Ja to wiem dobrze...

– Coż ty człowieku możesz wiedzieć? Coześ ty podpatrzył na świecie gorkiego?

– Ja nic nie gadam. Co wy chcecie? Może wy szprosy jaki? Co?

I, nie czekając wyjaśnień, umknął, jak zwierz, gdy dojrzy zasadzkę. (2)

Władysław Orkan

[illegible]

Blonay 11/I 90r.

Kochany Panie Feliksie! Serdecznie się ucieszyłem listem — ale i zasmuciłem. Martwi mnie położenie Pańskie bezpieniężne. Niechże Pan rozsyła utwory swe do pism i żąda honoraryów, nie spuszczając się na uczciwość redaktorów.

On też nic z tego kawałka nie miał. Sprzedać - ale, wet nie wiedział, że ziemię można sprzedawać - mniejsza, chociażby wiedział: któżby kupił, chyba diabli, ale wtedy, gdyby [illegible] [illegible] nie dodał.

Ludzie zrazu - gdy się z nim oswoili, gdy już mieli wszystko, co jemu można wziąć i nic się od niego nie spodziewali więcej - stali się dlań dobrotliwi. Dawniej młodzież, a potem i starzy przezwali go „Bronku" [illegible] - tak, aż do reszty zdziczał. (~~Nie wiadomo, jak żył i jak pomarł.~~) Latał po polach .... etc

.. I żył tak, póki nie umarł. w pamięci ludzkiej ~~Ludzie i po śmierci~~ jednak [illegible] żyje i tendencyjnie [illegible] sprawił przyszłości, bo [illegible], ile razy go zbeszczeszczą i lub przywiodą na pamięć jego opowieści i jak o nędzy, albo o tem, jak go to na straszne przekazali.

—

rozum ludzki, i tako powiedział, bo cóż ja on rozumie?

Drugi raz znowu, ale to już było po naborach, Kazali mi iść na wartę... ja też ochotnie się zbierał. Przecie mi to nie było cudne! bo ja się z chałupy na tę wartę wychodził. Przyszło „warta”[x] to matusia rzekła: „Ty wójtek pójdziesz!” Ja i opierał: „Jak mi się nie bardzo chciało. „Czemuż raz trzepanie nie idzie? Ja zawdy będę chodził?” ale cóż było z matusią... Zawdy stronę trzepania trzymali. Szedł się z „wartą”, jak wiecie, do wójta i tam się przedstawiało, że „warta” jest, a potem się szło na drogę i spało się do rana.... Tak też, jak mi przy wojsku kazali – ja się ochotnie zbierał. „Tak to rozumiem na wartę! ale nie na żadne exercyrki... bo cóż to komu z exercyrek? „Warta” potrzebna. Od tego ja już dawno wiedział. – Zebrałem się i powiedziałem, kiedy mię zaprowadzili, i przykazali mi iść na odwachen, żebym warty pilnował. O! nie bójcie się, ja tę „wartę” nie straciłem. Znaczy się: to pewnie i przy wojsku gwer „wartą” nazywają. Dobrze się mego[?] nauczyć. A powiadają, że cudek się przy wojsku niczego nie nauczy... Bajki! Tak se dumam rozmaicie i stoję na tej wardie. Ale mi się już za długo widziało – zaczęło się nas niedobra dziej[?] – rozpatrzyłem się dookoła, żeby [illegible] to czerwienie jakoś zaczynał, i widzę niedaleko: wiśnia, zielone ulistkie na niej czerwienią się wiśnie jak te pokusy. (potem mi dopiero do głowy przyszło, że diabeł pewnie [illegible] te wiśnie tam posadził, aby mnie skusić). Pić się zachciało (jak dziewczyny [illegible] ogórów w kiju). Ja też nie długo dumający, oparłem „wartę” o budkę, podszedłem do tej wiśni, wylazłem na nią –

---

x) znak, czyli na wartę [illegible], czasem trąba, a czasem kawałek drewna w kształcie rozmaitym. Taka „warta” nie co [illegible] wszystkich, zwłaszcza drzwi, [illegible] kształt, nie [illegible] jak np. kapeluszu wójta.

Obieram wszystko (stołówka była!) i idę powoli na wartę. ~~[illegible]~~ Już zdążyłem może ze ~~[illegible]~~ godzinę — widzę, ~~przychodzi~~ nadchodzi patrol ze starszym, ~~[illegible]~~ wołają na mnie.

~~[illegible] zdążyłem może więcej jak godzinę~~ — ~~przychodzi patrol ze starszym, i wołają mnie~~. „Ja tu!" — ~~powiadam. Odzywam się im: Co tu, czy się na wartę?~~ Odzywam się im — „Zaraz ci zlezę..." (Noc śmiejecie się i nie gderzcie) ~~[illegible]~~

„~~[illegible]~~" Starszy ~~[illegible]~~ krzyknął: „A gdzie warta?" Ja mu powiadam: „Tam stoi!..." — On znowu: „A tak pilnujesz?" — Ja, widzę, że się nie [illegible] odzywać, aby go ~~[illegible]~~ rozśmieszyć, powiadam mu do składu: „Ja ~~[illegible]~~ właśnie obieram — ~~[illegible]~~ a na „wartę" pozieram." Nie wiem, czy taka odpowiedź tak go rozgniewała, dość że ~~[illegible]~~ nie czekał, aż zlezę, tylko kazał mnie [illegible] ściągać. Pojmali mnie i zawlekli do jakiegoś ~~[illegible]~~ guzia... i bili jak ~~[illegible]~~ — wszystko może i... Nie rozumiem ludzki, i ~~[illegible]~~ tyle powiedzieć.

(i bili po pysku, po kolanie, ~~[illegible]~~ [illegible] ... żeby to na koniec!)

„Trzeci raz znowu tak było: kazali nam się ubrać na paradę i wyruszyć na błonie, tam miał przyjechać jeden może jakiś najstarszy i mieli my mu się przedstawić! ~~Znowu [illegible] cały strój na się~~ Ubrali my się, wzięli zbroję i wymaszerowali. Potem my się ustawili tak, jak nam kazali i czekali my, co będzie. Nadjechał wreszcie jeden — cały we złocie, że aż oczy bolały od blasku. ~~[illegible]~~ Serce się we mnie zatrzepało... Widzę: widzę go nie widzę, jak uważam — wszystko stoi i patrzy się jak głupie... Ja też zacząłem ~~[illegible]~~ myśleć, zdjąłem broń i wystrzeliłem mu na wiwat. ~~[illegible]~~ Ale cobyś z ludźmi... Zlecieli się na mnie zaraz — i... ~~[illegible]~~ bili. ~~[illegible]~~ Ja się już nie pytam za co, bo co będę... ~~[illegible]~~ Nie rozumiem ludzki, i ~~[illegible]~~ tyle powiedzieć.

(4)

~~[illegible] I.~~

V. Pytam się: za co?" — a ten mi, tuż się jemu bardziej drażni... ~~[illegible]~~ na ten koniec. Pojmali mnie i zawlekli, ~~[illegible]~~ do jakiegoś ciemnego... i, mówią, tylko.... nie warto i gadać...

V (11) 9/ 37

Takie jego historye z wojska miał, podobnych jeszcze trochę, i nic więcej. Choć znali je ludzie wszyscy, bo jeden od drugiego podawali, jednak radzi je od niego słyszeli; bo śmiechu z tego było dużo. Jemu zaś było wszystko jedno, czy się kto śmiał, czy nie — tak śmiech jednako przyjmował, jak i udane litości.

I plątał się tak między ludźmi, wieczyście między śmiechem, a nadkiem spokojem, to między głodem, a średnią sytością, jak się przy czasie zdarzyło... Żył tak dorywczo, jako ten zwierz leśny, trochę do ludzi wzwyczajony, ale więcej się ich lękający.

Wreszcie któryś ze starszych gazdów postrofał go dobrotliwie:

— E, Wojtuś, czy tam Szczepanku, pocóż ci się tak tłuc pomiędzy ludźmi? Masz kawał, tak — powiedziałbyś i siedział na nim.

I słuszność była w tej mowie, bo pole matusia przecie nie zabaczyła o nim i zostawiła mu go w testamencie.

Ale-też i Szczepan słusznie odpowiadał na to:

— Jakże będę na nim siedział, kiej skoro kaś śmieszy...

Bo nieznosił się na

~~wiele~~ [illegible] cały rok prawie, leżał śnieg ~~był śnieg~~ na tym kawałku. Kawałek ten był pod lasem ~~w północnej stronie~~ ubogiej stronie, północnej ubogiej. Najwcześniej ~~[illegible]~~ śnieg na niego spadł i najpóźniej z niego zlazł. Tak że [illegible] z niego co zbierać, trawa była liche trawa rośnie, ale cóż z tego — ~~[illegible]~~, bo kamienie były przy kamyku tak gęsto i jeden na drugim, żeby się już trawa przecisnęła, chociażby jak [illegible], gęsta szczotka, nie umieściła.

— Nie ma rady, chrześcijanie — jak powiada komornica Tekla, która też taki ~~[illegible]~~ grunt po ojcach dziedziczy, i podatek zeń szczerze opłaca.

Tak więc trzepie, chodzi i ustroje, bo nawet nie umiał do chodzenia, musiał rad nie rad chodzić: bo czas umiał, duszę [illegible] zbywał [illegible] od uprawiania tego ~~gruntu~~ ~~ojczystego gruntu~~ niewdzięcznego zagonu.

A że umiał usposobienie do marzeń, do [illegible], i wszystkich ~~[illegible]~~ wolnych chwil na powietrzu, to prawie zamiast [illegible] domu.

Ludzie z [illegible] się z nim całkiem oswoili, gdy już wiedzieli wszystko, co umiał powiedzieć i ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ wszystkich [illegible] ~~[illegible]~~ i nic się już nowego od niego nie spodziewali — stali się dla niej dokuczliwsi, może powiedzieć i gromadnie zawsze.

/.

./.

Dawniej młodsi, a potem już i starsi straszyli go „[illegible]” [illegible], tak, iż do reszty zdziczał. Latał po polach, jak dawniej, ale daleko od osiedli, uciekał, gdy dojrzał wyrostków, choćby mu potok przyszło przejść spieniony, [illegible] jeno ku nocy pasterom przy [illegible] zagrzać się, gdy ogień palili. Nie wiadomo, czem się żywił — pono buków zbierał i [illegible], co dzięki [illegible], to może [illegible] jakoś pod lasem obłupił i skórę oraz szat dla [illegible], jaka się w niej ma najdowsze — któż wie, co [illegible] jej [illegible].

I żył tak, póki nie umarł?

W pamięci ludzkiej jeszcze ciągle żyje, jednemu się uśmiechy, gdy się go przybaczą lub przypomną na pamięć jego opowieści: o jego wyrostku, albo o tem, jak go to na [illegible] przez kości...

(4)

[Koniec]...

Dwóch nas matusia miéli.

h Gdzie nogd wie gózie

gdzie gdzie zbierali ich

na wóz

m na wóz.

w ogodzie Amm

Am Am Am amm

za ompyi Amm amm

za Ku bojo

wini i wyplasarem

na nim

i podon vu dzj

wini iwy

Lis.

— Idź-że przynieś co dzieciskom; widzisz, że głodne — rzekła lisica chłopu swojemu, który się iskał, siedząc na przyjamiu.

Obejrzał się niechętnie na nią, potem złagodniały mu się oczy, gdy je powłóczył po wszystkich, tarzających się u kolan matki;

— Tu i wilczyskby nie nastarczył — powiedział mrucząc. — Dopiero co wczoraj przyniosłem gęś, musiałem zawody po nią chodzić, i już nie staje. Jak tak będziecie gardować, to się doczekacie (lisica nie wesołego) przepowiadam. Teraz o żywność coraz trudniej, ludzie stali się postrożni...

— Nie bajdurz, — przerwała mu lisica — ino się zbieraj z tej ziemie i idź poszukać co, bo wnet będzie południe.

Lis się przeciągnął i, ziewając, spojrzał okiem w górę.

— O, jeszcze słonko nie wyszło nad Gronie...

— Tak gadaj — zrzuciła lisica, ziemię ogonem patrząc — tak gadasz, boć ci się nie chce. Wolałbyś leżeć. Całymi dniami byś leżał. A żywność sama spadnie, jak szyszka, pod nogi. Może byś chciał jeszcze, żeby ja z dzieciskami znosiła ci pod nos wszystko — co? Pański byś miał żywot.

— Ex, nie trzeszczałabyś. — Po tym wiem, trzeba się trza nałazić, zanim się co zdybie...

— A tybyś chciał, żeby ci samo do gęby wpadło. Łatwo byś se chciał żyć. Ruszaj się nareszcie, czy ty głowy psie może ja mam iść, a ty się ze mną najmniejsze? Postarałeś się o dzieciska, to się teraz trap...

— Znam już, znam tę litanię...

Dźwignął się ponuro i, nie chcąc słuchać dalszego trzeszczenia, poszedł.

— Ino se uważ, żebyś próżno nie wracał! — krzyknęła za nim.

— Dobrze, dobrze — mruknął, idąc — ... to, jak na kazaniu. Ogonem obertnąć, i już.

9/

Poco ja się tu wziął? Jakech był sam, to co znalazł, to co, a nie, to nie – to mi nikt z pyskiem nie dojeżdżał. Było, tom zjadł, a nie – tom się zeszył w garncu i przespałech dzień cały. Nikt mi pora nocy nie wykowyrzył.

~~Siedzi jakiś czas, zgryziony, i wcale nic nie myśli (szczytany jednak, ... dość częsty wbrew twierdzeniom ...), potem znowu naszły go różne uczucia.~~
~~– Marne to lisie życie. – biadał – Szczęśliwy człowiek! Ten se u siebie w domu kury chowa..~~
~~Naraz przyszło mu do głowy:~~
~~– Czyby się też i u nas nie chowały?.. Trza spróbować~~

Siedzi jakiś czas, zgryziony, i wcale nic nie myślał (stan u ~~tego rodu~~ dość częsty, wbrew twierdzeniom ...), potem znowu naszły go różne uczucia.

– Marne to lisie życie – biadał. – Szczęśliwy człowiek! Ten se u siebie w domu kury chowa...

Naraz przyszło mu do głowy:

– Czyby się też i u nas nie chowały? Trza spróbować... Żeby to ~~...~~ dostać parę żywych... Już byłby się ofiarował dzień pościć na tę intencję. Ba, kiedy to strasznie mdłe – zaraz w łapach zdycha... choćbyś ją i najdelikatniej wziął pazurami...

Idzie, rozmyślał nad tym pomysłem i uśmiechał ~~do~~ się do widoku, jaki mu wyobraźnia przedstawiała. ~~A~~

... Pasą się koło jamy.. pełno ich się cały kordel... czarne, ~~białe~~ białawe, siemieniate... Dziewczyna ~~...~~ swawoli z nimi – niby straszy je, jak koty młode, ale żadne się nie śmie tknąć.. Ojciec zakazał... On ze ~~...~~ leży na przypiecku i cieszy oczy ~~...~~ tym obrazkiem..

(1)

V

(1)

Wszystko mi nie to, aby ~~ludzi~~ człeka zmylić, gdyby chciał ~~odchód swoich~~ odchodzić nieodzownych, ~~[illegible]~~ swoich zasad, ~~a raczej przykazania~~ jeśli ~~[illegible]~~ praktycznie z pierworodności mądrej ustanowić, i potomkowie ~~jego nie~~ trzymali się jej ściśle, choć, odkąd ludzie o niej się dowiedzieli, ~~[illegible]~~ nie miała ~~[illegible] żadnego [illegible]~~ już praktycznie żadnego znaczenia. Była to ~~[illegible]~~ tradycyjna pierworodność – bez walorów ~~[illegible]~~ pomiędzy którymi wszystkimi rozpoczynającymi że ~~[illegible]~~ ostatecznie postanowić iść na tamtą stronę.

— Żeby się jemu chciały chować!.. Ale coby nie chciały? – po-ciesnął się – Wytłómaczy się im, że i ludzie nie lepsi i nie dla żadnych piórek je chowają.. A poszanowania nigdzie takiego by nie miały.. Z miłości by się koło nich chodziło... Tylko jak wytrzymać, coby się ich nie tknąć? Człowiek potrafi, bo cóż, i trawę może jeść...

Dla zaokrąglenia tych przedumywać dodał se je-szcze w myśli:
— Trzeba będzie ten począt przeczyścić przy czasie. A tymczasem musi się starego trzymać sposobu.

Zatrzymał się i począł się zastanawiać, w którą stro-nę się udać. Za wodą wczoraj był, to dziś stręgą.
— Dziwnie nieprzywidujący ludzie...

Najporęczniej byłoby do chałupy pod lasem, ale dużo niebezpiecznie, że blisko jamy. Trzymał się sta-rej zasady, i ludziom z dawna znanej: „Lis koło swojej nory nigdy kur nie dusi." Od przodków jego w tej okolicy mieszkających trzymał się tej zasady: Jak z tamtej strony góry miał osiedle, to tu chodził polo-wać, a jak raz tu się sadowił, to na tamtej stronie polować... Daleko wprawdzie, bo trza obejść koło całą górę i drugą stroną wrócić, ale widoki są...

(1) Podumawszy niedługo, wybrał drugą ścieżkę pomiędzy przylaski, aby się niepotrzebnie z nikim nie spoty-kać. Drugą chwilą biegł w cieniu – las pociągnął jej nie-dużo – w tem zatrzymał go szmer; spojrzy w górę, bo szmer oczami prawie musiał łapać, i widzi czarną wiewiórkę; jak ta siedzi na drzewie i plwuje z wysoka, życząc mu „drę-szczęśliwych łowów."
— Dałby ja ci „szczęśliwych łowów" – mruknął – żebyś nie była tak wysoko...

Udał, że coś sobie koło ogona poprawia, aby go nie wyśmiała, iże się dla niej zatrzymał, potem spokojnie ruszył dalej.

4

Idąc, rozmyślał z powodu tego wypadku.

— Poco też Pan Bóg niektórym stworzeniom dał taki talent, że mogą po drzewach chodzić, albo i w powietrzu latać... Jak i jastrząb... ten mi kurę, com ją wychował sam, z przed nosa weźmie — i leć że za nim!... Nie, sprawiedliwość na tym świecie...

Ale wnet przestał bawić się myślami, bo już przylaski się zwężały, trzeba było baczyć pilnie na wszystkie strony, ~~[illegible] skoro się przylaski skończyły, po [illegible] [illegible] zbudził się też w nim [illegible] dawny, który to samym mógł potrwać w pościgu, i prowadził pościg [illegible], jakoś niegdyś z dawna [illegible]; ale zmęczył przytem wnet i zadyszał,~~

Przytem, biegnąc, z przyzwyczajenia raczej niż z myśli zazierał pod [illegible], czy tam zając gdzie nie śpi albo jaka inna żywina skrzydlata, ale nic ciekawego po drodze nie zauważył.

Skoro przylaski się skończyły, pomknął dalej potokiem, a wreszcie i potok się urwał, trzeba było potoczkami podnosić się [illegible]... Ostatni z potoczków trawił się prawie pod osiedlem. Długo też w nim u końca nasz lis się namyślał, nim się odważył wyjść na równe pole. Naprzód ocenił wzrokiem otoczenie, potem [illegible] wokoło na wszystkie [illegible] — i skoro nic [illegible] nie zauważył niedobrego, ostrożnie wyszedł na widok. W bliskości stało osiedle, ale żywej duszy nie słychać było. Słońce prażyło, nasz lis też pomknął pod sad ku cieniowi — stąd się rozglądać uważniej — ani słychu. Wreszcie dobiega jego wytężonych uszu dalekie jakieś stłumione gdakanie, tak jak z poza szeregu ścian. Już znał tę nutę ciemną (tak miłą uszom a tak bolesną z oddalenia...)

— ~~[illegible]~~ Chciałby ją z bliska usłyszeć. ~~Obszedł~~ Podszedł ku ścianom, obszedł je, dopokąd zdołał, nasłuchiwał, ale mimo czekania nic się nie wyjaśniło. Ustał, poprzebierał nogami, nasłuchiwał się, aż łzy mu do oczu naszły, wreszcie rad nie rad zebrał się i ~~poszedł powolutku dalej. Idący myślał:~~ ~~Dziwne~~ Poszedł w stronę ~~do~~ sąsiedniego osiedla. Idący dumał:
— Dziwni ludzie... niepotrzebnie ~~do kosza~~ kury do kosza zamykają... Kto widział... ani powietrza, ani wody... One im tam do jednej wyzdychają...

~~Wtem~~ W tym sensie rozważał ~~dla~~ chwilę, ~~ale niewiele~~ ponieważ ~~[illegible]~~ zwrócił uwagę ~~na coś innego~~, bo już osiedle drugie występowało ~~i od odsłoniętej strony nie [illegible] ukazywało się na widok, jakie ono się przedstawi~~. ~~A~~ Zachylił się pod miedzą i ostrożnie bardzo się podsunął. Widzi... Kury na polu się pasą, cały kierdel... Ba, ale ~~dziwny~~ Spory pastarz przy nich; pilnuje, ~~[illegible]~~ obchodzi, zgania, ani na chwilę nie spocznie...
— Też rozum... ~~Taka robota [illegible]~~ Kto widział kury paść, jak owce... A jakie one ładne, nietrwożliwe! Ej, żeby tak bliżej...

Napatrzył się z pod miedzy, ~~[illegible]~~ na nie, nawzdychał się niemało — i rad nie rad zebrał się ku następnemu osiedlu. Tam się już może posilić... ~~Trzeba~~ Już by był czas...
— Dzieciaki ~~[illegible]~~ głodne czekają — pojrzał na słońce — już południe...

Zachylając się poza wysoką miedzą tak, że jeno szczyty drzew mógł widzieć, ~~do~~ zapomykał się ~~[illegible]~~ ku trawnikom. Miedza się właśnie kończyła. Wychylił łeb ostrożnie — i aż mu serce z radości zadrgało... Widzi: kury się pasą na trawniku... Nikogo przy nich... Mierzy oczyma przestrzeń dzielącą go od ~~[illegible]~~ kochanych stworzeń... Trochę za daleko... żeby ~~bliżej~~ podeszły nieco bliżej... Namawia je oczyma — całem pragnieniem, całą wolą ~~[illegible]~~ wysyłaną ku nim przez rozkochane oczy, stara się je przywołać ku sobie... Szczególnie jedna mu się spodobała... puszysta, duża, siwoniata... Do tego koloru miał zawsze słabość niejaką...

4

Więc uśmiecha się do swej modlitwie, prawie że z któ-
-rejś ktoś z nich, głupie, ostrugę
i podnieśli wrzask, i w nogi... Rozsierdzony tem,
wyskoczył i puścił się za nimi — w tej chwili wypadł
z pies od chałup z takim okropnym
charkiem, jakby wściekły, i prosto na oślep
pędzi... Z jedleś dy-
bów... Cóż głupiemu stać na drodze? —
pomyślał i (w tym momencie) wartko zawrócił nazad. Wnet dopadł
potoczka, pomknął nim w dół i,
zatrzymał się dopiero, skoro owo charczenie nieprzy-
jemne zcichło. Zły był na siebie, że się dał Stachowi
przejść, ale wszystko złość jego porywało go na wspo-
mnienie tej mordy charkliwej.
— Bogdajby ci się padło smętnymi tarkami żywot! Psie
głupi, nieokresany...
Serdecznie znienawidził, jego plemie-
nia, którego, które, jak podanie niesie,
miało jednego praojca z narodem ludzi,
a potem się zaprzedało na służbę do ludzi.
— Poco oni to żywią... Ani szczekać nie umie
nawet... Nic nie ma,
coby się mogło podobać...
W tem podobieństwie zdusił się, wypoczywając, wre-
szcie smutek go nawiedził, razem z ciemnem,
który od (przeczuciów) się
dłużył.
— Słonko spada... cień rośnie... Dziewka tam już wy-
czekuje... Matka się będzie złościć, że mnie tak długo
nie widać... Niechże idzie sama, niech się dowie,
jak to łagodnie przychodzi... Chciałem przecie — ale trudno-
niespodziewało się... Jak i teraz... Taka dobra sposobność,
no i na czas — musiała ta psia morda przeszy-
kodzić... Bestyje, dadzą obiad, przyniosą pod gardło,
to się jej zdaje, że nikt potrzebnym jest... Żeby je cię
dostał, wrzuciłby ja cię najwyżej polewkę!..

Gwałtem myśl jego do psa powracała, a tu trzeba było coś postanowić, bo śródwieczerz się zbliżał. Zbaczył sobie, że jemu jest jedno wszystko. Na drugie się przyzwyczaił. Trza ostatniego szczęścia popróbować...

Zebrał się i ruszył w stronę, gdzie miarkował że chałupy stoją. Dojrzał ich dachy nareszcie. Ostrożnie już podsunął się, wysunąwszy grzbiet, zachylił, aż niespodzianie natarł się pod sadem. Płot z okrąglaków otaczał go. Wsparł się na tylnych nogach, i zajrzał przez szpary wnętrza. Bardzo dobrze. Są w sadzie — pieczenie je już, nim zajrzał — Są stare, są i średnie kokoszki, i małe, jemu kurczęta... Z tych możnaby każdy przy ziemi wziąć parę na chów... a tymczasem którąś ze starszych trza będzie... I tak jej żywot niedługi. Ale jakże się tam ku nim dostać? Płot wysoki, szpary wszakże pomiędzy okrąglakami, że ani łeb się nie przeciśnie. Poczyna biegać dokoła, wypatrując otworu wszelkiego....

— Dziwni ludzie... — myśli przytem — Ogród bez furtki... jakże oni tam te kury wganiają?...

Nagle uczuł ból okrutny — coś go chwyciło za nogę ostrymi ząbcami. Lisek zacisnął zęby nie zaskomleć z bólu — pojmany — a tu łapa przednia między dwoma obręczami... W tej rzeczy słyszy krzyk: „Tuś mi!" I widzi parę osób, pędzących jedno przez drugie od izby. Szarpnął się raz, dwa — coraz straszniejszy ból — i nie puszcza... Czuje, jak już żelazo nadwierza gnieździe kości... Moment — a ludzie dolecą... Więc zbiera wszystką zawziętość i bez namysłu: chrast! zębami — ugryza nogę potąd, pokąd w żelazach tkwiła — i w nogi... Wszystkich sił dobiera w biegu, bo ludzie już tuż — z kijami. Na trzech nogach leci, jak na pięciu. Już już potok — już lasek — obziera się — ludzie nie ustają... Więc dalej — dopadł lasku — nie zatrzymując się — pędzi w potok — we wodę — nóg

zgoła nie czuje. Wreszcie w przysiadki. Zwolnił biegu, ale jeszcze nie ~~[illegible]~~ bardzo dowierza, ~~dalej~~ dobrze idź, byle dalej, byle jaknajdalej; ~~już~~ wreszcie już stąpić nie może – ból mu pociągnął dotknięcie. ~~Siada~~ ~~Pada~~ Siada na mchu i poczyna opatrywać nogę.

Ściemniło się ~~[illegible]~~ już na dobre, kiedy nasz lis, kulejące, ~~[illegible]~~ na trzech nogach dowlókł się do miejsca, skąd zboczył był przed południem na prawo w przysiadki. „Szczęśliwych łowów!" Zawołało go z ~~[illegible]~~ wysoko – pełne radości ~~[illegible]~~, ta sama czar-na wiewiórka, śmieje się, siedząc na drzewie, i puszcza mu na plecy łupinę ze szyszek.

Udał, że nie nie słyszy i powlókł się dalej, szczekając cichutko ~~[illegible]~~ boleśnie. Wreszcie do-wlókł się ku jamie. ~~[illegible]~~

– Tak wcześnie ?! – wykrzyknęła lisica, a widząc, że nic nie niesie w ~~zębami~~ – do niego: – Cóżeś przyniósł? Swoje ścierwo zdechłe ?!! żeby cię było do reszty... psie pidwy!

Uchylił się przed tej złością, i ~~odszedł~~ nie nocował w jamie. Wyszukał sobie w gąszczu kąt najciemniejszy – tam ~~[illegible]~~ siadł na zdrowych trzech nogach i ~~[illegible]~~ obficie trzy wylizawszy, płakał:

– Ludziom przecie jest lepiej – myślał, ustatkowawszy się w ~~płaczu~~ bólu – nie ~~[illegible]~~ potrzebują szukać codzień na wieczerzę tej głupiej strawy...

Trzeba dodać, że ów lis wcale nie znał mia-sta

Przykry moment.

Michał Kopytko, filozof z powołania, ze skłonnościami do poezji bez wyjścia, który mógłby się nazywać Osioł, a na imię mógłby mieć Lew, szedł ulicą, przekonany, że się nazywa Kopytko, nie Osioł, mógł [illegible], wzdłuż ulicy wielkiego miasta – miasta, powiedzmy, w całem słowa tego znaczeniu, w którem się wszystko mieści, co ohydnego jest na ziemi.

Ale nie wiedział, jak wygląda, gdy się nie widzi przed oczyma blisko, jak sobie dobrodziej ludzi, który widzi przed sobą „sprawunki"! Co prawda, uspokoił się, jak zwykle, ale pośpiech jego był niezdrowy, który nie przyspieszał kroków i widać było, że z zewnętrznym przymusem wywołany, szczerej wewnętrznej gorączki. Gorączka była u wszystkich – ale podobno gdy u tamtych była gorączka zwykła „biegaczów", gorączka jego była do snu, do halucynacji zbliżona, czyli natchniona.

Ludzie, mijając go w pośpiechu, spychali go z chodnika co chwila, wreszcie wypchnęli go na jezdnię ulicy i nie wracał już, bo tu się swobodniej, szybciej widział, mógł ramionami wymachiwać, a to [illegible] swoim zostać według woli. Szedł środkiem ulicy – czuł wagę siebie, idącego, a razem lekkość, jakby uskrzydlony był.

Czuł się ideami napęczniały, jak balon... W tem przepełnieniu chciałby wyrzucić słowa bez związku, pianę kipiących, wrzących w sobie myśli. Zbyt mu się [illegible] owego wyrwania, ostygł zwolna na mózgu, i słowa mu tu układały już w jakieś całe zdania.

— Dusza, jako synteza… objawienie!… Niech żyje
~~Kopyt…~~, Ko…pyt… Głupia nazwa… przybiorę
sobie pseudonim… Serafinus… nie… ~~At~~ We mnie
musi być początek… [jego tam ojcem] ~~początek nowej idei~~ idei…
Ariel… nie… to także ~~ref~~ serafinowe… Trzeba jakoś
tajemniczo… [słowo] ~~x~~ wcielenie… Lśnienie… to już było…
Centaur!… Tak jest… że je też nie to odrzuca mnie
~~pr~~ przypadek… Centaur myśli!… Symbolicznie…
~~[illegible]~~ i racjonalnie, bo mieści się w tem [rodzinne] ~~i Kopyt-~~
~~ko~~ rodowe Kopytko… Rebus dla głupich… Cha! Cha!
niechże mają, które się im [samo] ~~nie [illegible]~~ kopytko
nie [podoba] ~~[illegible]~~… Teraz ~~[illegible]~~ muszę tylko księgarni
Zuchwałość, żeby tę ideę nabył… Dlaczego dotąd
mię nie szuka? Dobry księgarz powinien wiedzieć,
gdzie się idea [nowa] narodziła… [pokłon] „W Betlejem przy żłobie
jest ale nowa żłobie”!.. (~~Z[illegible] który się narodził w dzie-~~
~~ciątku Kiedyś śpiewowali~~). Ktoś mówił… zaraz…
Kto to mówił… że księgarze jak Herody, a myśli
jak niewiniątka… Ale już się ustrzegę, ustrzegę! a
pojedziemy do Egiptu ~~albo na Haiti~~… Osłów tu
nie brak… potem, gdy nas nadzieją, wrócimy…
Tryumfalny wjazd… Niech żyje Kopyt!.. ~~[illegible]~~
~~powodzenie~~ ~~To jest [illegible]~~ [Wszechwiedzący] centaur!.. ~~A na~~ To się samo
przez się rozumie, że i Kopytko ~~u~~ niby kopytko cen-
~~taur~~ taura… Potrzeba ~~się [illegible]~~ [poczułem się] rozprawy z fałszer-
stwami wiedzy… ~~z Klepsy, mówiącą [illegible]~~
~~[illegible]~~. ~~Powinno się wykładać [illegible]~~.. ~~jak [illegible]~~
~~[illegible]~~

~~Jam jest… świętością ~~we [illegible]~~ we mnie usiąść [illegible] [Grodziszczanin]~~
~~Świat jedyny byłby ostatecznie swoją syntezą… Ku Duszy~~
~~Swej, która jest Bogiem, świadomością…~~

Władysław Orkan.

O Wojtku, którego na Szczepana przekręcili.

Sam o tem, już jako Szczepan, tak ludziom dobrym opowiadał:

„Dwóch nas Mał

47 3

Albo ci dostojni ślepcy, mówiący o cudach barw! Zdumienie... porwie się wykładać jedno... przed... przerażenie?! Jeżeli kolumny systemów w gruzy... A nowy ostaje gmach na fundamentach poznania... Jam jest... nie prawo, że myślę... ale iż świat we mnie uświadamia... Jam jest jeden z tych schodów ku górze... ku ostatecznej syntezie... Konieczny... (Beze mnie nie byłoby Boga.) –

Duma podniosła mu włosy czy włosy na głowie razem z filcowym kapeluszem, i nawet rozpierało go, jak wiatr miech brzuchaty, ramionami zaś skrzydłował na podobieństwo wiatraka.

– Gdzież idee, którymbym mógł hołdować? ... Objąłbym ramionami morze... ręce mógłbym rozwierać, pocz... podnosić je w górę – gwiazdy bym zagarnął, nieboś...

Władysław Orkan.

<u>O Wojtku, którego na Szczepana przekl.</u>"

Sam o tem —

~~Ale nie powiem, nie... a może...~~ uświadomił od dzienników

~~– Jak teraz tego który dość ku syntezie... wszystko idzie ku syntezie... Świat kiedyś. Świat się we mnie uświadamia,~~

~~– Człowiek-syntetyk... objawienie!.. Świat się przeze mnie uświadamia... Świat, ludzkość idzie ku ostatecznej syntezie... Drżyj ci, ludzie zmiażdżą! Jakże ... ma zdobyć olbrzymiem.. Potęga! potęga! Objadają nami mnie... wyżej przed się z podnosi je w zwyż – ... ciąg dalej...~~

Ktoś przechodzący na pośpiech ulicy, potrącił go i zbudził do uwagi. Powiódł wzrokiem dokoła i widział ludzi spokojnych, jak przechodzą, wszystko się mu ze snem zlewało. Tyle wieków! Spokoju!

– Ja jeden... jeden! Dziwne... Nic nie wiedzą, że ktoś im niesie skarb...

Szedł dalej i mieszał się z cichością człowiek, który jeden wie o skarbie ukrytym.

– Objawienie, prawda! geniusz? – Wszystkim się ... zakrył. Dochodził wreszcie do progu...

5 3

Cóż to? – stukot, krzyk krótki – jeden moment – i oto przyjęciem centaur leży na ziemi z rozmiażdżoną czaszką a obok niego wóz i szkapa ze zwieszoną głową.

Lud się gromadzi. Wnet utworzyła się ciżba dokoła wozu. Ludzie, spieszący się bardzo, stają na chodnikach, rozpytują się ciekawie: Co się to stało? – Nic, człowieka wóz przejechał.

Wnet zjawia się policja w osobach stójkowego i cyrkułowego pana. Kto winien? Woźnica arendujący wózek jest ślepy koń. Tak by koń zabił człowieka. Zaraz wygłoszono: Ślepe konie zabijają ludzi. Tak się wyprowadziła pierwsza prawda.

Nad z lekarzem zabitym radzono. Szukano wszędzie przyczyny. Ślepy koń – tak, to policja stwierdzi. Ale to narodowi nie wystarcza.

Ktoś podsunął:

– Chciał myśleć idący...

– Tak jest. Stanowczo musiał myśleć.

I zaraz wyrozumowano:

– Niedobrze jest myśleć.

Ktoś poprawił:

– Myślenie jest niedobre.

Druga prawda.

~~Kiedy tylko ... ambicji posłać tylko do jednego~~ dochodzi

— Ja wiedziałem!... Taki wóz jechał – on siedział. I nagle. ... Kozak...

On jeździł...

Zaczem do [illegible] wyrazy, a ~~refleksje~~ zastanowienia ambitny

wszyscy: – Ja wiedziałem!

... objęło nad wypadkiem, który przeszedł to miasto ...:

— No powiedzcie — ... Siedzi sobie, siedzi, i tu naraz...

Ktoś współczujący doda:

— To przykry moment dla niego.

~~[illegible]~~ Ironicznie ~~[illegible]~~

— Boru, w ostatniej człowiek ambitny do nowych osób!

~~człowiek ambitny~~: Ja wiedziałem!... ~~[illegible]~~ i opowiadał teorię wstrząsu od początku –

Ktoś zatrzymuje się:

— Wszechmoc Boska. Niezbadane sprawy... a nie wie go kto, jak on się prowadził?

Ktoś się wzruszył:

— Ja go znałem. Przychodził do mleczarni. Dziś rano był... Człowiek, widzieć się, ~~spokojny~~ dość uważny no i powiedzcie, ~~[illegible]~~..

Spocznie sobie pogodził ze światem.

— Już nie przyjdziesz ty, biedaku, do mleczarni.

Jeden wesoły:

— A ja zawsze ~~[illegible]~~... Trzeba tylko ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ zdrowo uważać na wozy przejeżdżające...

Zaczem refleksje objęły naród.

Jakiś mówca ze stołem profesorskim powiedział sentencję smutną:

— Człowiek to tak jak balon

Inny:

— Nikt nie wie kiedy koniec przyjdzie.

Optymista:

— Hm... mógłby być ~~[illegible]~~ tyle lat nie umarł.

~~[illegible]~~ człowiek spokojny.

— Ostatecznie i tak by był umarł...

Człowiek cyniczny

— Chodźmy! Szkoda czasu...

Powietrzu wschodzi ~~[illegible]~~ gromadnie ...

były to leżące ~~[illegible]~~ nawet nie formowały się w powietrzu w postaci ~~[illegible]~~ białych motyli.

Świetna c. k. Dyrekcyo!

Ze strony prywatnej informują mnie, iż u pani Żychoń (ul. Grodzka l. 48. III p.) znajdują się papiery moje, które stróżka tej kamienicy wieczorem we środę dnia 30 listopada b. r., zapalając lampy, na schodach, porzucone, znalazła. Stróżce owej polecono zgłosić się z temi papierami do biura inspekcyjnego Policyi; nie wiem jednak, czy się zgłosiła, i dlatego zwracam się z niniejszem do Świetnej c. k. Dyrekcyi. – Z opisu widzę, iż to są papiery z listu pieniężnego, który w tym samym dniu (tj. 30 go listop

Przypowieść:

„Ryby i niebo.”

(Powieść humoreska)

Jędrzej Bajan i powieściopisarz:

I. Żywobycie Jędrzeja Bajana.
II. ~~[illegible]~~ Na odczycie.
III. Na kolei.

I.

W Zakopanem żył Jędrzej Bajan. Ktoś może żyje i gdzie indziej; (ale do ~~[illegible]~~ historyi prawdziwej potrzeba, aby tu żył) I nie dziwcie się tak wszyscy, ale coś tem oczywisto, aby jeno mógł być, jakiego potrzeba, a [illegible] Jędrzej Bajan.

(Żywobycie Bajana).

Wyszedł z estrady – [illegible] odprowadzały. ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ [illegible] się ku drzwiom ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ przechodził wśród obok Bajana, [illegible] [illegible] i [illegible] oczyma, [illegible] ~~[illegible]~~. A gdy powieściopisarz ~~[illegible]~~ ten [illegible], zatrzymał się, pytającym patrząc na Bajana [illegible] [illegible] ku niemu i [illegible]: [illegible] [illegible] ~~[illegible]~~:

– My ~~[illegible]~~ obaj wiemy, ale nic – spokój – psst...

Korzystając z okazji ~~[illegible]~~ (zatrzymania się) i widząc, że jeno z gośćmi [illegible], najbliżsi otoczenia pana zbliżyli się ku niemu.

– Ach, jakie to wspaniałe!
– Kiedy to pan wydrukuje?
– Czy to prawda, że pan nas już opuszcza? ~~etc.~~ itd. albo etc.

Bajan, ~~[illegible]~~ [illegible]:

– ~~[illegible]~~ Kaz ~~[illegible]~~ będzie już wieczory? Bo ~~[illegible]~~ nas [illegible] spotkać..

Powieściopisarz nie wiedział, gdzie odpowiedzieć.

+ Bajan: – To nic, to tak wyczerpanie... jeno się trzymajcie [illegible]... Już was nie trapię... ~~[illegible]~~ Bo się i tak spotkamy..

I odszedł. Powieściopisarz wszystkich [illegible] [illegible], [illegible] [illegible].

Zakochani nieraz, jak ~~[illegible]~~ [illegible] – u [illegible].

Gdy powieściopisarz po kolacji, [illegible], twórczy, pozostał w [illegible] – [illegible] się Bajan, który już dawno w [illegible] [illegible] [illegible] i przechodził pod [illegible], [illegible], [illegible] się tam wyspowiadał!

– [illegible] [illegible] [illegible] – [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] i ~~[illegible]~~ [illegible] [illegible] go [illegible].

9/

– Nie będzie wam za przeszkodę?.. Wziął stołek i przysiadł do stołu.

Powiedziałem, wszystko, że Bazyli obcięgi do naszej smaku, i że zna go już z opowieści i wiedział, że z gościem [illegible] o jakiś trunek.

– Nie szkodzi – rzekł Bazyli – przytem się i lepiej gada. Wiecie: takie ludzie, jak my dwa, to se w świecie [illegible]. Ja was odrazu poznał, jakeście ino do potrzeby w tym cytaniu doszli. Tak zgadywałem, umiem osądzić wszystko, że się widzi i serca prawdę. To właśnie nie każdy potrafi. Ja już ten talent prowadzę oddawna – i powiem wam: nie się tak nie udaje ludziom, jak taka rzecz, co dorasta do prawdy podobna, a całkiem nieprawdziwa. ([illegible])

10a

V. . . . .

. . . .

Powiem wam – bo ja ten talent już dawno prowadzę – to mi nie dziwne, że ludziom zawsze taka ostrość na twarzy pokazuje się, jakby o wielką rzecz chodziło... Wy się w duchu możecie śmiać, ale broń Boże wam tego pokazować. Jużby wam nie uwierzyli na drugi raz... Wiecie... ja się trochę od ludzi uczył, a trochę ze siebie. I Kozina, naśladowanie tak się sprawiają... Latem naród ucieka, [illegible] i wiecie nawet niejeden się zbęczy... Tak tam i tu... ale co ja wam będę gadał – widzicie wiedzieć dość, że wszystko [illegible]...

– Ależ... Zresztą ja też nieprawdy rzeczą... [illegible]...

– No, przecież wy sami, to nie potrzebujecie gadać...

(3) V. b . . . .

/. A co się do tych historyj, co opowiadam... To najlepiej z daleka tak coś niecoś napomknąć o przygodzie, że to niby nie o tę rzecz idzie... a potem bliżej, coraz bliżej... do samej rzeczy... o czem wam tu do głowy przyjdzie.., a jakby [illegible]

Był to człowiek dość stateczny i dość samotny na świecie. ~~[illegible]~~, ale dzieci [illegible] jakoś nie [illegible] pomiędzy ludźmi, ale że był i miał o co się troszczyć, nikt go z góry nie zaprzestał jego życzliwością. A to życzliwość jego wszystkie była z prostą powściągliwością — Opatrzność dość nieznacznie swoje [illegible] trójkątne na jego osobistą potrzeb — jednym słowem: [illegible] go [illegible]. I [illegible] w serce na [illegible] żywot swój, a przytem i Pana Boga [illegible] po [illegible] powiedział, iże się nie stara o [illegible] jak należy, lecz go przy innych [illegible], jakoby mu takim [illegible] być nie godzi.

I raz przy takiem [illegible] przyszedł mu na pamięć, jak to Sabała przy [illegible] podobnych [illegible] życia [illegible] jak go ludzie honorowali, gdzie [illegible], jak go [illegible] Warszawy zapraszali do siebie z cystową [illegible], Kościeleckiem... [illegible] mu było żyć a umierać. A to wszystko przez to, że [illegible] Sabała umiał opowiadać. I pomyślał sobie Bęc:

— Możeby się puścić na ten talent...

Wiedział on, co prawda, że nie ma w sobie tego składu, co Sabała miał, ale se dumał:

— Spróbować nie zawadzi... Na głupości ludzkiej [illegible]...

No i zaczął próbować. Zaczął myśleć historye na podobieństwo Sabałowych i nachodzić ludzi, o których wiedział, że Sabały radzi słuchiwali. Ale mu [illegible] zrazu nie szczęściło. Ludzie, skądinąd dobry, odwracali się plecami i wyraźnie dawali poznać po sobie, że go słuchać nie chcą. Bęc wiedział, co prawda, że te historye nie takie, jakie mają być, i nie dziwił się, że ich nie słuchają, ale mimo to gniew go na ludzi pobierał. Zanadto ich lekkoważył, żeby im darować. Wieczorem pomyślał dobrodusznie:

— Poczekajcie psie, ja was tu przymuszę...

I coraz większej śmiałości nabierał, napadał ludzi całkiem nieznajomych, którzy go radzi słuchali, po drodze, idąc, przy[illegible] się do znajomości z kimś tym, aby mieć słuchacza, a gdy ów człowiek [illegible], zdumiony, powiadał już: iż pierwszy raz jest w Zakopanem (i pierwszy raz dopiero widzi Bajkę widzi), Bajka spokojnie zapewniał: „A przecież byli tu zeszłego lata... nie? Toście se musieli zabawić..." I nic go w tej drodze ku świętej całości nie zwiodło. Też niejeden ostatni zwracał się ku panu, bo jakoby przecież w rozumie, że łatwiej jest u niego powodzenia nabyć i rekomendacje dla swoich talentów. A wreszcie z czasem nabierał i wprawy i dużo swobody, już nie tak [illegible] bardzo.

Minął rok, jeden i drugi — jedyny Bajka stał się osobą znaną w Zakopanem. Opowiadano o nim po Warszawie — to te panie z Warszawy, te tu przyjeżdżające, namawiały go koniecznie widzieć, odjechać, aby znowu mogły o nim opowiadać. Wszystko o Bajce [illegible].

Przyglądały mu się przez szkiełka, zapraszały do siebie wydziwiać, tak, że nie ostatecznie wszędzie być, gdzie go prosili. Dawał się usadzić, pić, nawet umizgać się nie bronił, w miarę skromnym był — nie przesadzał. I dobrze mu się wiodło. Coraz częściej zdarzało się, iż wśród zgromadzeń wszystkich opowiadał — a słuchali go, jak ojca, nikt się nagle wyśmiać nie ważył. „Chodźcie to i młodzi lekkomyślna bawią..." Opowiadania jego [illegible] pomiędzy ludźmi; już nawet trafił się taki, co je chciał spisywać.

I sława o Bajce rosła, a on się wsłuchiwał w nią ~~dobre~~ bystre miał ucho — i uśmiechał się do swoich myśli, ~~który~~ z którychby się nikomu nie zwierzył, chyba gdyby spotkał człeka ~~podobnego~~ do swojej [illegible] doby. Szedł ~~o niej~~ rozgłos po ludziach, ~~i wszystko dobre~~ ~~było~~; o nikim gwary nie było, jeno o Jędrzejowej Bajce. Gdzie się wrócić, to „Jędrzej Bajka, Jędrzej Bajka!" ~~wszędzie~~ słychać się ustawicznie, i zdawało się, że i krowy jej i owce na tę nutę ryczą. ~~O Sabale~~

O Sabale dorosła całkiem zabaczono; tem tamiej, że już umarł, a Jędrzej Bajka żył. Jon też tylko wspominał o nim czasem:

— Nieboszczyk... Boże, świeć mu ta jak możesz... Narobił on dużo zła na świecie... I talentu takiego ni miał, jak się ~~[illegible]~~ niektórym wydawało... E taki ta bajał, jak mógł... żeby żył dzisiaj, toby się mój odemnie ~~[illegible]~~ przyuczyć... niechwalący się... bo życko w rękach boskich... i talent, i wszystko, czego ludzie ni mają...

To mawiał głośniej, raz pocichu [illegible] do siebie częściej myślał. Czuł ~~on~~ on w rozumie, ~~[illegible]~~ że po śmierci mowa Sabale ta będzie ustąpić, ale mu ta po prawdzie to nie chodziło: chciał ~~dożyć~~ jeno dożyć, jak Sabała, w poszanowaniu wszelkim doczesnym. Tego dopiął nareszcie i ~~więcej~~ miał swojej granicy.

Jeno niekiedy cicha obawa go naszła, czy się też, ~~Boże~~ Panie Boże, nie trafi człek taki, jak ono przyszło z Sabałą, coby chwiał o tę minioną sławę kapelowca... Któż wie, jakby było... ~~[illegible]~~ ludzie są tacy dziwnie wdzięczny... czasem im to, czasem owo... gotowiby o Bajce zabaczyć...

Ale to nadmiar był tej wątpliwości. Na nic takiego nie zanosiło się. Ludzie ~~[illegible]~~ Bajce honorowali,

jak dotąd, (a on im opowiadał) jeno bardziej i wszystko było dobrze.

*

Aż w jeden czas, zdarzyło się, przyjechał do Zakopanego sławny powieściopisarz. No, nic — przyjechał, to przyjechał, to znowu pojedzie. Ba! ale ledwo dzień pobył, a już tyle o nim dzwonów, coby tu rok siedział. Wszystko się o niego dopytuje, gdzie mieszka, ile, co, gdzie wieczerze jada, mało, że cię o inne rzeczy pytali: gdzie po wieczerzy chodzi przed spaniem i tam dalej. Z dnia na dzień coraz gęstsza idzie o nim gwara. „Nic to — pomyśli se Baja — nowy, to zawsze ciekawi... I jaby go też chciał widzieć..." Ba! ale gorzej. Nikto już Baji nie słuchać. Tak jakby naraz wszyscy od niego zabaczyli. Wszystko ino tam patrzy, tam myśli — tak, jakby wszyscy ludzie [illegible] byli, [illegible], po za którym widzić tego... jak mu tam... powieściopisarza. I powtarzają historyje o nim, i jego powieści znawiają — o opowieściach Baji całkiem zabaczyli. Kto-to jin źle, niedobrze. Jednej Baji naprawdę się sprzykrzyło. Ale go jeno więcej ciekawość paliła. — Któż to dyabli! Cóż on ma? Czy to, co ja! Czy to, co bajała?

Od odpowiedzi na to, zależało, zdawało mu się, dalsze jego żywobycie na tym padole. Szukał jeno okazji, jakby się tego dowiedzieć.

No i trafiła mu się wreszcie okazya. Zapowiedziano odczyt owego powieściopisarza w czytelni zakopiańskiej, jako że będzie raczył czytać na głos swoją najnowszą opowieść.

5n

A zawrzało po całym mieście (jeno Tatry spokojne stały, jak przedtem) — każdy, co się jeno ruszać mógł, zbierało się i gotowiło na ten odczyt. Nawet ze Sanatoryi, ci, co już umierający, wyżebrali prawie doktorów, coby ich wypuścili.

No i nasz Jędrzej Bajo gotować się. Co strzelić, to strzelić — to chciał tego powieściopisarza naocznie zobaczyć i usłyszeć opowieść, aby mógł zmiarkować, co on ma w sobie, że go tak już słuchają: „Czy to, co je, czy to, co łabędź?"

No i zebrawszy się, poszedł. Straży, niźli nie nie stracił, bo go ta pani, co przy biletach siedziała, bez opłaty na salę puściła: jako że znała go dobrze — i wszyscy go tam prawie znali. Niedawno jeszcze... ale co tam — wszystko znowu może się na dobre odmienić...

Wszedł więc na salę — pełno już narodu było — pań, jak zwyczajnie, najwięcej, tak, że się panowie stracili pomiędzy nimi — gorąco też było, i zaciekawienie na twarzach okrutne. A stanął se przy bocznej ścianie, niedaleko od stołu, aby mógł widzieć i słyszeć. Prawie na czas przyszedł, bo drzwi się otworzyły i na estradę wyszedł powieściopisarz. Pan był, jako zwyczajnie panowie, niczem się wcale nie różnił... No nic — myśli se Bajo — słuchajmy. Bowiem gdy umilkły oklaski powitalne, powieściopisarz czytać począł. Bajo w oczy wpatrzył się i słuchał bardzo uważnie. Widzi, wszyscy chcieli wyrozumieć samą opowieść. Słuchał pilnie,

w skupieniu i serce mu się ścisło. Wreszcie, skoro już powieściopisarz przerwie do połowy wczytanie doszedł, Bajz odetchnął. Musiał już to ten uważać, rozglądał się po zebranych wkoło i ~~[illegible]~~ chwilami oddawał się do myśli swoich. Zrozumiał, co chciał zrozumieć, i już go opowieść dalej nie tak ciekawiła.

Powieściopisarz skończył — V

(1)

Blonay d. 4/I 905.

~~Mościcki i Drzewiecki straszą mię układem w „Wici i Karze". Chciałbym przenieść wł. dzieć osoby nad tekstem, które wypowiadają. Czy się to już nie da zmienić?~~

V 10a

(2) A kieby, i jesce przyoblec uniżyźniej (w świętym nowym), coby wyglądał jak na ten przykład niewłoski paniczyk, co to powiesza po sobie rozmaite stworzenia a widzi ci się: scyry jedwab – to to, modlący, ~~co się podobi~~ strasznie się ludziom udaje. Ho! ho! bo ludzie mają wzrok bystry... Bliżkiej nicy dwo nie ozróżnicie. ale to się i bydlu przytrafia...
To tak naprzykład, wiecie, jak ze tymi portkami. (podnosi nogę nad stół i pokazał) prawda, że sukno, jak uzyczujecie? niby wyrobione rękom... He, he! a to o podwiązce także – maszynowe... ale nikt z bliska nie ozeczna. (2)

(3) Ze mnom możecie być ~~tak jak~~ tak-jak ze sobom, bo ja ten talent oddawna prowadzę. Ludziom trza, coby mówili, u to scyrze, bo oni ~~wszystko~~ naprzódy biorą. A tu człekowi przecie o to idzie, coby się i uchronić i ubawić gdzieś przy ludziach i zarobić przy tem, no nie? (przecie to nie grzech) Na to pan Bóg jedyny ludzi stworzył, coby się drudzy z nich śmiali. Ale ludzie niewiedzą sami niewiedzą, czego chcą. (Tak, tak, jakby ciek chciał gadzie scyrze, to by nic nie musiał robić.) Chcą wszyscy od człeka, coby i smutnie gadał – dobrze. Ja i to potrafię. (I tak scyrze) Jedni smutno kiedyś rozpowiadają, a drudzy smutnie słuchają. A potem jedni i drudzy się cieszą... ~~Jak to ten smutek~~ I tak jedni drugich cyganią, jak mogą.

Baja, wypiwszy ~~trochę~~ wódki trochę dużo, gdy zwiesił i chwilkę się zadumał:

– Możliwy... jak idzie o scyrość – bo wy tu sami som — to tyczko niescyre," i ta scyrość, jakeś to niby ludzie chcą ... Gdzie scyrzć... ~~Smutno~~ Opowiadajcie, jedneja, bo nam smutno!"..
"Ho! ho! możesta... Smutnego opowiadaniem nie pocieszy.

Świętego nijak nie poradzę; bo straciłaś go chłopie ~~całkiem~~ zabić. Tak, tak, mościewy... ~~A~~ Jakby człek chciał gadać szczyrze, toby musiał nic nie pedzieć..

Pomieszał się [illegible], ~~[illegible]~~ i nic [illegible] przeciwić Bogu, jakby ~~się~~ ~~[illegible]~~ duma: przecie musi stworzyć... Boże też podniósł głowę i głos do góry.

— ~~Co tam [illegible] [illegible].. [illegible]~~ Ale nie o tem chciałek wam... i tak mi na nic zeszło.. Chciałek wam pedzieć, coście mi tak do serca przypadli, jak nikto z ludzi, wierzcie...

Jakby człek chciał gadać szczyrze, to musiał nic nie pedzieć.

~~Stropiony~~ Zamilkł przytem nie pomieszał oprzem, [illegible] go nie zdumiało tchem [illegible] — ~~[illegible]~~ bo nie [illegible] ~~[illegible]~~ być Boga, jakby tego nie wolał — a wszystko, że [illegible] ~~[illegible]~~ [illegible], że ~~[illegible]~~ nie rozumie, do czego ~~on~~ Boże prowadzi, wrócił do poprzedniej gwary:

— Tak, mościewy... Syćko w ręku boskiem...

To jest [illegible] człowiek [illegible]: wychowa człek dla [illegible] jako ino chce... I ja niemało poderwał, zanim-ech na tem talant przyszedł... Teraz mi się już, chwała Bogu, dość dobrze wiedzie... I wam się będzie wiedło, ino se tak poczynajcie, jak wam doradzam. Bo ja ten ~~talant~~ odda[illegible] prowadzę, to mi ~~[illegible]~~ cudnie. Jak se nic nie dajcie po sobie pokazać, że to nie jest wasz talant, bo przeciwnie, coby każdy widział, i cieszcie się z tem uradości.

Syćko ~~[illegible]~~ od Boga.. ./.

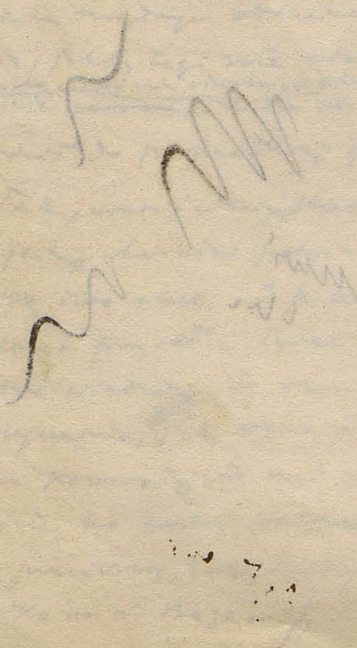
wcale, a szczegółowo w połowie, bo i to się może trafić i nie wiedzieli, co dalej, to najlepiej nie pokazywać po sobie, ani o czemś [illegible] pozę, [illegible] (albo [illegible]), co [illegible] drugi spotka (wydarza się [illegible], jeśli prawdziwa wyjdzie) a tymczasem [illegible] dalsze przyjdzie... Choć to w pisaniu może nie potrzebne, bo macie czas podumać [illegible]... Tego, jak powiadam: górnie! zawdy górnie!.. Choć o [illegible] niby, to tak, jakby coś o wielkiego nie chodziło! Tak — moi mili...

ale widzę, że czas się już dłuży. Bywajcie zdrowi! dobrodzieje [illegible]... No, ostańcie z Panem Bogiem. — Spotkamy się kiedy, to od nowa pogwarzymy. A nie — to zabaczcie zapisać o za mnie. [illegible] dobrze.

I wyszedł Maga... a powiedziawszy ostatnie słowo... dziwnie rad, że to błazeństw wiele nie było. ~~choć mu coś szeptało, że ktoś [illegible] tajemnicę jego zdradził, a tym [illegible] tłumaczenie...~~

Trochę się wstydził sam siebie. Ale z czasem poczciwe i ten wstyd głupi zniknął....

[illegible]



Dr. Jan Brzeziński. Red. „Kuryera Warszawskiego."

Jak Jędrek Śklarz po Włochach jeździł.

We ~~Francji~~ W Tryeście
w Wenecyi
w Bolonii.
We Florencyi.
w Rzymie.
Do Neapolu nie dojechał, „bo „panu" wyszły pieniądze."

Ne. a) Neapol, którym gadali: zobacz Neapol i umrzeć. ~~[illegible]~~ z tego widoku.)

(b) k [illegible]. Jego wzięli za pana. [illegible]

c) We Florencyi. Obrazy. Bóg w strzechach. Zajście po- [illegible].

(3) W Rzymie. ~~Ta~~ „Sam święty Michał Anioł malował."
(Brat wyprowadził).

e) W Wenecyi. Na ulicach pełno. Taki naród ~~o~~ w wodzie obrośnięty. Kościół Świętego Marka. „Wiele tak przepadnie, jak u nas drewno. Zawsze wszędzie, gdzie spadnie. Przy mnie spadała wieża na placu św. Marka, to wiem, ale to prawie nic. Oni potrafią tak wcale postawić, że ~~ty~~ lecący stoi. Jak w Bolonii..."

(f) W drodze z wagonu. „Nie nic więcej, ino morowe jakieś drzewa i... Ani kapusty, ani ziemniaki, ani owsa. Ziemia tak próżnuje darmo. To też Pan Bóg im nie bło-gosławi!"

5) „Dziadów tam moc. Co drugi człek, to dziad. Ino jakiś wszystko że żebraki. ~~[illegible]~~ Powiadali, że król sam nad nimi opiekuje..."

I.

Jędrek Skłarz, młody gazda ze Szeffer, pojechał do Ameryki i cały tam rok mieszkał, a nie dał znaku o sobie, ani do żony nie napisał, ani pieniędzy żadnych nie przysłał. Aż niespodzianie pod jesień przyjechał. Zaraz gruchnęło po wsi, i wnet wieczorem zeszli się ludzie bliżsi do jego chałupy dowiedzieć się, jak tam w świecie, [illegible] [illegible] [illegible] i zaspokoić ciekawości o ~~[illegible]~~ ludziach, o ziemi. ~~[illegible]~~ Po przywitaniach zaraz jęli się ~~go~~ rozpytywać: ~~Jak tam~~ ~~[illegible]~~ w tej Ameryce? ~~[illegible]~~
— Jak wam się tam wiodło?
— Ja nie był w żadnej ~~[illegible]~~ Ameryce.
— To gdzieście byli cały czas?
— Ja jeździł po Włochach.
— ? ?
— Coście tak patrzycie...? Gadam wam, żem po Włochach jeździł [w Tryeście i w Fiumie i Końsku]. Byłech ?... Ale [illegible] wam z kraja [illegible] ~~od [illegible]~~. (Rozprawiali się.) (Żona też zdziwiła się, choć już [illegible] o [illegible].) Jędrek [illegible] w jej oczach.
— Do Ameryki to się tak widzi, jak za miedzę. Każdy tam jedzie — ale do ~~po~~ Włochów! To [illegible] [illegible] [illegible] tam [illegible] być —

Jędrek Skłarz opowiadał potem:

—

i [illegible]

- Hej, to tam Krzyż jest? — spytały ~~[illegible]~~ nasze [illegible]!
- Krzyż jest, i Jeruzalem, i wszystko jest we Włochach.
- Toście i w Jeruzalemie byli? — spytał [illegible] [illegible], patrząc na Jędrka, jako na świętego.
— Nie, tamećmy nie dojechali ~~[illegible]~~, bo pana [illegible] [illegible].
— Toście na [illegible] [illegible] mogli dojść. ~~[illegible]~~

—

— Ino mi nie [illegible], że ta [illegible] [illegible] [illegible] za [illegible] było wysiać, niż za mojego pana.

—

— Ośla by jeszcze [illegible] [illegible]? — [illegible] to ~~[illegible]~~ widzę wszystkie [illegible] chowają, ~~[illegible]~~ coby miało co [illegible].

v (1) 58

— Jak wiecie, wybierołek sie do Hameryki. Ale że to
wszyscy jadą bez Hamburg, jo se udumoł poje-
chał na Tryjest. Bo jo już taki był wse od całe[j]
prekorny. No i mi wten jakimś cudem zawiedzieli
sie o tym moim zamyśle w Tryjestowe, bo mi przysłali
papiery i jak, kiedy mam jechać i pisali, coby dno
pierwsze posłać, to tam już będą czekać na mnie
ze szifkartom i zabierą mnie ze sobom na
morze. Ja ten, durkem skrytym nie naczekio-
ny, uskutkałech dobrej rady, bo mi sie tak uwidziało
pierwsze posłałek naprzód i pojechałek do tego
Tryjestu. Przyjeżdżam tam, wysia-
dam — obzieram sie po stacyi — nikogo nie widzę.
Juz mnie coś w sercu ściskło. Ale nie tracę humo-
ru, chodzę tu i tam, popatruję — nie, nikt sie nie
odzywa. Idę je na miasto —
spytuję sie, ale trudno sie z tutejszymi
zgodzić: jeden pozierze, rusz ręcami — odeńdzie,
drugi tak samo, trzeci coś zamamrota,
kiebyś go wygoniał, a jest i taki, co się śmieje.
Mnie już złość porywa. Nareszcie trefił sie
słowak i ten mi dopiero pokazał, jakech ma
opędzić wszyćko, kamy sie mam udać. Zachodzę.
Gmaszysko wielgie, jak ministeryjo,
a drzwi mnie ze sto, do którychże tu zapu-
kać. Pytam skrzętnie: wchodzę, powiadam,
jak i co — posyłają mnie dalej, — idę dalej — tam
to samo — aż nareszcie niby natrefi-
łech. Powiadają mi: było tu coś, ale niewiado-
mo — Ktoś, powiada, papierów szczędził — ale
pierwszy odezwie, powiadają, nijakie nie przyszły.

Jakech zrozumiał niby z tego, co wspólnie [illegible] gadali. Ja tez wpadł w złość – co myślicie na taki interes! – Jak się rzecny [illegible], weź!.. Czy ja was szukał, psie juchy?.. Kto mnie do jendy namawiał? Na pomoc? Oddajcie mi tu zaraz, bo jak nie, to... [illegible] nie baczę, com [illegible] powiedział, bo się straśnie zhonorzyli, rzekłoby ich niby obraził i wypchli mnie na ulicę, powiedzieli, że jak drugi raz tu przyjdę, to mnie do policyi oddadzą... Żeby to było tu ka bliżej – w Nowym Targu, abo w Sączu, tobych tak prawa był szukał... Ale cóż – tem miasto straszne – naroda mocnych panów wielga... może jaki cysarz przyjechać akurat i wozy, i będzie źle... [illegible] [illegible] mi przyszło: żeby oni [illegible] [illegible], [illegible] to widać [illegible] duże – takie gmaszysko, [illegible] kościołów – urzędy [illegible] powarne, jak u nas starosty – nie, trochy mi się zamąciło... [illegible], może [illegible] w drodze ka [illegible]... Napędzą może jesce. Ale jakoś, ich przeprosić, skoroch ich tak zklął... [illegible] Niechta – myślę – do jutra [illegible] chap się. Posiedzieć w miasto, [illegible] trafiłech raz na restouracyję i z tej złości opiłech się tak, [illegible], jakech [illegible] pieniędzy był [illegible] [illegible] gratalech się i [illegible] patrzę: jakkrzeby [illegible] do [illegible] w łeb [illegible] uderzył... Ratunku! Żyjący Jezusie! Ka okiem dojrzy – woda, woda i woda.. [illegible]

– Toście się pewnie nad morzem nabiedzili? – wtrącił stolarczyk.

– Jużci, że nad morzem. Usiadłem, zadumałem – ba! kaniem ta dumać! patrzyłem po prostu zgłupiały... wreszcie myślę: będę miał czas patrzeć, jak pojadę... Skierowałem się ku miastu. Jeść mi się zachciało – mam wstąpić tak do jakiej restauracji (ale mnie coś piknęło) pomacałem się po kieszeni – i bez bedziesta! przeciedy nie wyjąłem dalej po sobie – dostatku nima. A miałem jeszcze ze sobą kilkanaście srebrza na wypadek. Co robić? Stoję głupi – i coraz mi jest gorzej. Wnet bym był siadł na ulicy i płakał. Przemogłem się wreszcie – no darmo – nieszczęście. Poszedłem prosto ku tej stronie, kaniem miarkował, że panów wczorajszych napotkam. Natrafiłem się, ale nalazł. Ino mi już było dużo nieśmielej wchodzić. Wczoraj huczałem, kłócić przy sobie, a teraz bez grosza, widzi to mi się, że każdy wie o mojej zgubie. Przyjęli mnie tak, jakoby mnie pierwszy raz widzieli, nikt wczorajszego nie przypomniał, ino nie chcieli ze mną gadać. Co ja do tego, to ten się odwraca – i tak z kolei. Prosiłem jak już prosić, jak mogę – nie słyszą. Wreszcie już i stali pewnie molestowali. Dopiero naostatku pokazali mi drzwi – i na ten koniec. Wyszedłem jak na ulicę i jak całkiem pijany. „No to już – myślę sobie – teraześ już jednakowo gorszy i jak najostatniejszy żebrak. Przeciedy diabeł podkusił – i teraześ już na boskiej opiece. Kamy się ruszyć? W jaką stronę?

7

~~[illegible]~~ ani drogi nie wiem nazad do tela krajów — ani o cem dzić, chociażbyś i ~~[illegible]~~ na prędce wrócić..." Tak biadolił nad sobą, popłakując, i błąkał się po mieście, ~~[illegible]~~ zgłodniały. Przytem do pana Jezusa, do wszystkich świętych, ka jeno jako jest, mówił pacierzki, żeby się zlitowali nad sierotą i wydobyli mnie z tej biedy.

I, widzić, wysłuchał mnie ~~[illegible]~~ któryś (ktosik ze świętych), bo ~~[illegible]~~ usłyszałem naraz (ino ze 2 pacierze) ~~[illegible]~~ naszą mowę wyraźnie ~~[illegible]~~ taką:

— Skądże wyście?

Jaze mi serce skoczyło ~~[illegible]~~ od nagłej radości. Pojrzałem ~~[illegible]~~ widzę przed sobą osobę ślachetną — w pańskich [illegible] ~~[illegible]~~ ich nie widział ~~[illegible]~~, jakiegoś ~~[illegible]~~ wielmożnego pana, ze szafla ~~[illegible]~~ od zakopianego.

Tak się wtedy przyjąłem, jak jakoś z [illegible] wszystko [illegible] coby mnie zbawił.

Zdziwiłem się, powiada, po ichnim [illegible]

— A coż wy tu — pyta się, robicie?

Ja mu też opowiedział swoją całą, jako było, historyę ~~[illegible]~~ aż do ostatka. Wysłuchał i powiada:

— No to coż teraz myślicie?

— Nic nie myślę — odpowiedziałem — ino czekam Opatrzności, może się zmiłuje...

Popatrzał na mnie, obejrzał mnie od kyrpców do kapelusa.

— Ładny, powiada — strój macie...

— E tak ta, ~~jak~~ nie ostatni...

Usympatyzował się mi jeno, uśmiechał coś, uśmiechał — wreszcie powiada z wysoka — już mi nie dziwota:

— ~~[illegible]~~ A zgodzilibyście się do mnie na lokaja?

No, pewnie — myślę —.

– Hm... czy ja tyz wiem?... – odrzekę, a bardzo mi się nieswojo zrobiło. ~~[illegible]~~ Zdarzyło mi się, ~~[illegible]~~ jak to którykolwiek potrzebuje. – I zostałem, (taki, to już najostatni znak [illegible]) jak ~~[illegible]~~ sługa, to już chodzi ~~[illegible]~~ za furmana... Odezwałem się nieśmiało:
– Ja by tyż chciał na chłopaka się dostać...
– No dobrze – powiada na to, trochę przychmurzony. – Dostaniesz się do domu. Sam się ~~[illegible]~~ zapytam, bo i tak ~~[illegible]~~ do Zakopanego pojadę. Jeno teraz ~~[illegible]~~ jadę do Włoch, może byś ze mną pojechał i pomógł ~~przydałbyś~~ mi się w drodze...
~~– [illegible]~~
– Ho, jak ~~Fulz~~, to z całem sercem przystaję! – zawołałem. Chociem ta i nie widział, kany te Włochy, ani chociem ta i nie o nich nie napomknął. Taki pan, jeszcze ~~[illegible]~~ po wszystkich, to mnie nie skrzywdzi. ~~[illegible]~~ Pocałowałem go w rękę.
– ~~No~~ Dobrze – powiada – jeno stroju nie odmieniaj... Pocoż by ch... Zresztą i ni mam za co...
Dał mi zaraz na obiad i poślimy zwraz ~~obiad~~ – to jest niby ona naprzód a ja na [illegible] Do ~~[illegible]~~ [illegible] ma karocą chodzić – do hotelu.
Taka, [illegible], była opatrzność na mnie, co mnie po Włochach obwoziła.
– ~~[illegible]~~ Straszne ciekawe rzeczy powiadacie, – wtrącił ~~[illegible]~~ który ze słuchających, gdy Jędrek przerwał – ale cóż było w tych Włochach?
– Dowiecie się, ho, ho, dowiecie się ~~niesmiało~~ (jno bądźcie cierpliwi). To dopiero początek. Na czem ja to stanął? Aha, jak my do hotelu poszli. (No nic. Co tam w hotelu. Ja się plątał, ino mógł, a pan się gotował do drogi. (~~[illegible] [illegible] przyniesć, coby nam [illegible] [illegible]~~)
– A od czego-ście wy byli?
– Ja był tam więcej od parady. Bo potem sam pan mi powiedział, ~~[illegible]~~ jakby ich spoufalili ze sobą, nie przyjął do służby lekko, ze mnie niby ta, dzy w strój (na sobie) góralski, coby się zeznaną niby po Włochach przekazać: jako że to ja jego cała fest, a tabi słynny. Może ten ~~[illegible]~~ postanowienie oznacza się ka bogaty, jakby się trafiło, to musiał mieć tyż jako ~~[illegible]~~ ./.

7/

człowiek ~~ślachetny~~ ze ślachetnego rodu, chcé jednego ze skarby na pokaz. A jużby ta nie chwalący się, lepszego nie nalazł.

— Noż dyć, ni ma wam co pedzieć... i z urody niby i z charakteru... I jakże ~~wam~~ dalej z tym panem?

— Przenocowaliśmy w ~~D~~ hotelu i raniutko na morze.

— Jakto, na morze...?

— No na okręt, niby na szyf po naszemu. Straśnie wielgaśna machina, kościółby na niej móg stanąć. ~~Z klasy som, jak na na kolei jedna la lepszych, druga dla pośledniejszych.~~ Dzieli się na dwie klasy: po jednej stronie siedzą lepsi, po drugiej zaś pośledniejszy naród. Ja był po tej lepszej stronie. Zaraz, jak my ino ruszyli, stanąłek se przy poręczy — i nimogłek się dość napatrzyć. Jakby wam to przedstawić... to tak wyszło, jakby natenczas nad całą doliną nowotarską nalazła woda, a my po niej z tą machiną ~~po~~ płynęli...

— To musi być strach!

+ ~~Bo, rozumiecie, jest i strach, i cudno, i jeszcze inaczej~~.

— No, ~~to~~ zaś takiego strachu nima, bo na okręcie śmielej, ale zawdy niepewniej, niż na łodzi. Wnet ~~t~~ my odjechali tak, że nikaj brzegu nie było widać, ino niebo i woda...

— ~~H~~Ej, Boże! — szepnęła trwożnie żona Jędrka.

— Wiater dmuchał od zachodu, to się garby na wodzie tworzyły, ~~i~~ i okręt się kołysał, jaże się na wnętrzu niedobrze robiło. Pocęły się ~~na~~ we wodzie pokazować rozmaite ~~potwory~~ wieloryby...

— Jakie to te wieloryby?

— Straśne potwory. Płynęły za okrętem i ozdziawiały paszczęki, jak ciemne otchłanie, jakby czekały, ino rychło im co wpadnie. Ja się tyż cofnął, bo i cobedź pana Boga kusić, i ~~po~~ zbliżyłek się ku środkowi. A tu tymczasem kielkoro ludzi zachorowało na takie słabości, co się morska choroba nazywa. Upatruję mojego pana, spytuję się — a ten nieborak tyż. Nedzoch

go lepszego w takiej mizeryi, że mi się jaż żal zrobiło. I wstyd mnie było przy ludziach, bo strasznie nie po pańsku biedota wyglądał. Siedziałem nad nim i myślę se: „Co robić, jakby broń Boże zachorował, zmarł? Chyba zabrać te kufry i wracać zaraz ze zwłokami. Żebych choć wiedział, co radzić..." Ale przecie Pan Bóg dał, że przyszedł pomału do siebie. Jakeśmy tę Wenecyi dojrzeli, to już był całkiem zdrowy.

– Kajże to ta Wenecya?

– Jakże wam powiem... we Włochach, ale jeszcze na morzu. Miasta takiego jakiego ze świecą szukać.

– Jakże to, na morzu?

– No na morzu tak stoi, jak [illegible] na łodzi. Zamiast ulic, to woda i tak jeżdżą, zamiast fiakrów to łodzie po mieście jeżdżą.

– To dziwne –

– Musi też tamecznym cudno było, jak oni to zbudowali, Naród tam zmyślny ogromnie. Ni dyabeł im dopomógł, bo to przecie nie na człowieka patrzy, choćby i nie wiem wiela miał rozumu...

– To tam niebezpiecznie być musi, jak dyabeł fundamenta kładł...

– No, ale poświęcane. Kościołów tez stoi kilka.

– Byliście w którym? – pytały znajome.

– Byłem we wszystkich prawie, bo mój był strasznie nabożny, żadnego nie wyminął, coby nie wstąpić. Ciągle nosił przy sobie czerwoną książkę do modlenia, i modlił się z tej książki [illegible] z kardynałem prawie; czasem dał mi ją na niesienie, cobych niósł, ale ja nie mogę z niej wyczytać, bo to po niemiecku była drukowana i jakieś miejscowe obrazki w niej były – przeliterowałem ino na wierzchu jedno [illegible] wyraźniejsze słowo: Bae-dec-ker, ale tyż nie wiem, co miało oznaczać.

9

— Kościoły tam bogate, ~~[illegible]~~ ze samego marmuru stawia-
ne. a,
+ Jest tam jeden kościół, ~~[illegible]~~ pod wezwaniem
św. Marka, co ani ani opowiedzieć jego wspaniałości.
Co ino kamy pięknego, to wszystko na ten kościół —
~~Kopuła~~ i taki jeszcze ciężki od tych bogactw, a na wierzchu
tej kopuły znowu takie lekkie, jakżeby zupełnie z pa-
pieru były wydmuchane.

Ale nie ino kościoły, bo i pałace wszystkie takie ~~takie~~
i ~~kamienice w mieście~~ strojne. Nie ma żadnego domu
coby poprostu tak był postawiony, jak wszędzie u nas po
miastach, ino na każdym jakieś wydziwy, że się
napatrzyć temu nie nadarzy. To ~~[illegible]~~ we dnie. a cóż do-
piero wieczór!.. Jak ~~się~~ porozświecają elektryki,
jak się to wszystko olśni, poozłaca, jak te światła
powpadają słupami we wodę, tak, iże ~~[illegible]~~ całe miasto, widzi ci się,
na ognistych słupach zbudowane, jak jeszcze do
tego jakieś pokusy dyabelskie zaczną grać i śpie-
wać różnie jakichsi ~~na mostach~~ ptaszyskach, poubieranych w gierlan-
dy — to się widzi: raj na ziemi... Ani takiego [illegible]
[illegible] wyczuje że życia wrócić nie godzien. Ja ta-
[illegible] wydziękować nie mógł, iże mnie za-
brał ze sobą. Człowiek [illegible] jeszcze nie wiedział
był, że takie cuda dzieją się na świecie...

Nie dziwota, że tam ~~[illegible]~~ państwo zawsze przyjeżdża.
I w tym czasie, kiedy my byli, było ich tam dość. Najwię-
cej niemców. ~~[illegible]~~ Pan mi powiedział, że
po ślubie młode państwo zwyczajnie tam ~~[illegible]~~ jedzie
~~[illegible]~~. (Bo tyż tam jest jakiś pociąg do kochania.
Nie wiem, w czym, czy we wietrze, czy we wodzie — ale
jest, bo ch sam czuł, parę razy, jak mnie ruszało).
Jednego razu ~~[illegible] pan~~ pojechaliśmy z panem
łódką. ~~[illegible]~~ [illegible] spotkaliśmy
łódkę — drugą ~~[illegible]~~ powiadam: siedzi w niej dwoje ludzi,
~~[illegible]~~, starych, ~~[illegible]~~ może koło siedemdziesięciu roków albo wię-
cej. On ~~[illegible]~~ se drzymie na kosmie, a ona poń-
czochę robi ~~[illegible] na [illegible]~~. Gondoler wiosłuje
wolna — i tak jadą. ~~[illegible], powiadam~~
~~panu [illegible]: [illegible] z tą łódką [illegible]~~
~~[illegible]. „Ci jeno dawno po ślubie!" — powiadam.~~

Pokarzyż ich panie Jezusie:

„Ci teraz pewnie poślubne jazdy odprawiają, ino się nieco spóźnili. Ale to uczciwy człowiek. Obiecał jej, jeszcze przed ślubem, że jak ino w dziesiątk obrządki — coś zaoszczędzi, potem ~~[illegible]~~ pierwszy przyszły dzieci, ~~[illegible]~~ trza je było wychować — tak minęło lat czterdzieści — i teraz ją obwozi, jako przyobiecał. ~~[illegible]~~ Ino trochę ~~za~~ późno!..”

Pan się dziwi moim słowom, bo coż mieć inszego robić. Juz my się trochę spoufalili ze sobom. No dziwota, ciągle my razem chodzili. Ino, jakmy szli po mieście, to się za nimi prędzej obzierali, ~~[illegible]~~ niż za nami. Przypatrywali się ~~[illegible]~~ tam i wojsku... Straszne to niezdarne, mundur na ~~[illegible]~~ nich, jak z większego brata na mniejszym, ~~[illegible]~~ nie wiem doprawdy, jakby się to biło. I tak pewnie ~~[illegible]~~ od parady trzymają se wojsko. ~~[illegible]~~ Naród cywilny za to strasznie zmyślny, kiedy się ta po prawdzie do niczego przyłożyć nie chce, ale za to sztuki zna lepsze, niż cygańskie naród. Oni wam ~~[illegible]~~ będą po morzu na kiju jechać...

— Co powiadacie? — zdziwił się, niewierzący zrazu.

— ~~Święta prawda.~~ ~~Tyż~~ Dyć sam na swoje oczy widział, nie zblizka, co święta prawda, ale mówię wam tak zdaleka, cobych nie ozierał, jak se siedział na ~~kiju~~ jednym kiju, drugim (co oni tam kajakiem nazywają) wiosłował i tak jechał. Ho, ho! Oni nie takie sztuki jeszcze znają. ~~Wiecie~~ ~~Dy~~ Oni wieżę tak umiejętnie puszczać, jako nasze chłopy drzewo. Wiecie, jak drzewo w lesie się podetnie, to się naprzód wie, kany poleci. Tak oni, naprzód wiedzą, kany wieża spadnie. I za mej, za bytności tak jedną wieżę spuścili na placu św. Marka. Straszne to przemyślny naród. Ino że je biedny przytem. Żebraków tam moc, prawie co drugi człek, to żebrak. Jakbyś każdemu co prosi po ~~[illegible]~~ centie chciał dać, ~~[illegible]~~ to chodziłbyś naprędzy niezbyt ~~[illegible]~~ musiałbyś wszystki zbawić kwestować.

7/ 109 str.

~~Które~~ ale wszystkie jakoś te żebraki. Powiada, że się ~~prawie~~ sam rząd nimi opiekuje. ~~Pytam~~ Wszystko to się Kaszubi chowają, albo się też za panów poprzebierają, coby miasto wszystkiego ~~i napsuć~~ dodawać, ale we dnie to od pełna ~~miasto~~ wszędy. Widziałem też wielkie pałaców, co były porozmykane, ~~Pytam~~ i wszystko się wszak nie zwiedzi. Pytam się pana: „Czyje tyż to te pałace?" — „Niczyje" — ~~odpo~~ powiada mi — „Tak stoją." | Bogactwo jest dużo, ale ~~tego~~ takich jak powiedzieć po ścianach i po magazynach. Byli my w jednym, co się Muzeum nazywa, to my tam widzieli ~~ob~~ przeróżne te zbroje, ~~sut~~ ~~suty~~, ornaty, ~~kamienie~~ ~~diamenty~~ i różnych świętych wyrobów ~~Pytam~~ ~~x~~ kamienie najdroższe, a potem w ~~drugim~~ ~~po~~ ~~drugiej~~ ~~Król~~ ~~bardzo~~ pałacu, takim, co w nim Król mieszkał zadawna, to my tam oglądali ~~wszelakie~~ ~~ob~~ malowania różne, ~~ut~~ sklepy, wszelakie (co się tam po tych pokojach chowa) kosztowności. Ale te wszystkie ~~bogactwa~~, to ino obcym na pokaz, ~~coby się cieszyć~~. Pytam się pana: „~~Kiedy~~ skąd oni tyż to wszystko ponabywali? ~~Ba~~ w jaki sposób? Musieli chyba pokraść Kaszubi, bo przecie kupić nie kupili — bo to żebraki, to ich na to nie stać." ~~Pan~~ A pan mi na to powiada, że to kiedyś był bogaty naród, że mieli przodków sławnych bardzo, i ci ~~się~~ te bogactwa ponabywali, to na wojnach, ~~to~~ zwycięsko ~~...~~ karali wrogów, i to i ~~te~~ reszki tego bogactwa to som te zbiory, co je obzieramy. Z całego świata, powiada, zjeżdżają ludzie, żeby je oglądać — i za to płacą tutejszym, co im pokazują, to jest ich zysk z tego, ~~...~~

~~To może tak, jak ...~~
~~i przecież ... najstar...~~

— To jest ~~jak rozumiem~~ niby ~~ty~~ tak na przykład: Był bogaty ~~strasznie~~ graf, miał zamek i na tym zamku nagromadził wszelakie cudowności, a potem przyszła bieda i graf zbankrutował — i teraz jest ~~odźwiernym~~ niby stróżem w swoim własnym zamku. Przyjeżdżają ze świata ludzie, oglądają, on ich oprowadza, pokazuje, zachwala — a potem ~~oprowadza~~

Pz/ 63

szła po schodach na dół, otwiera drzwi, z których się [Któren się] z boków i wyciąga naostatku rękę: „Syniorze, ~~una lira~~ una lira?" To ma oznaczać po naszemu: co łaska.

Takie to miasto Wenecyja i taki w niem naród. Jakoby Panjezus wszystkie miasta ~~jak dawniej~~ z powodu bezecności, jakie się w nich dzieją, jako drzewiej Sodomę, ogniem abo siarką [illegible] postanowił spalić, toby to miasto ~~Wenecyję~~ z pewnością musiał wyminąć: bo tak tylko piękne jest, co jaże cud, [illegible] Ludzie som grzyśni, bo żebraki – ale i w tych grzychach [illegible] jacyś ~~wesoli~~ weseli – muszą być ~~[illegible]~~ i Bogu [illegible]li, niż insze grzyśniki, co to nawet i grzeszyć porządnie nie umie.

Widzieli my potem tyż miasta wspaniałe, ale [illegible] do tego ~~nic nie przyrównane~~ może być przyrównania [illegible] niej takiamo powiadał.

– Wieleście tam czasu bawili?
– Dość długo, bo jakie dwa tydnie. Ale tam i rok zamało wszystkie[illegible]
– Toś tak próżnował tam – wtrąciła żona – a ja tu tyrałam.
Jędrek porwał się do niej obrócony:
– Widzisz, jak głupio gadasz, nie do rzeczy. Tam wszystko ~~[illegible]~~ próżnuje. Tam cały naród próżnuje! I to se ma za honor. Wiesz o tem?

{Umilkła zawstydzona}, a Jędrzek dalej prowadzi ~~opowieść~~ [swoją].

– Potem siedli my na kolej i pojechali my na wschód, abo też ku południowi, kto z wie, bo tam świat się człeku inaczej przemienia. Tu, kamy u nas południe, to tam północ. Wszystko jest przeinaczone. Nawet po słońcu trudno się zmiarkować, bo się widzi, że nie tam wschodzi, kaj trza. Przejeżdżali my koło miejsca, kany się św. Franciszek urodził; potem kajsi koło miasta, skąd pochodził św. Antoni padewski. Same cudowne miejsca.

Potem zajechali my do takiego wielgiego ~~miasta~~, co się Bolonią nazywa. Kamienice tam podobne do Sukiennic w Krakowie, bo takie mają filary przed sobom; miasto, widać, bogate, ~~bo~~ i ludzie tyż opasłejsi ~~[illegible]~~, niż we Wenecyji; wszystko jakieś porządne, więcej przysadziste. Ale i łaskawsi ludzie

, ul. Blo

13.

zmyślam sobie: wieże takie ~~[illegible]~~ wasze mniejsze ~~[illegible]~~ stawiać, że lecący stoją...

— Jakto, niby!

— No tak, że widzi ci się, że leci... ino ~~[illegible]~~ popatrzysz, że spadniejąca ona stoi, ~~cudem~~ jeno pochylona, ~~[illegible]~~ cudem jakimsi tak w powietrzu wisi. ~~(Są tam dwie takie wieże. Strach patrzeć).~~

— To tam nie ludzka moc...

— Są tam dwie takie wieże. Strach pojrzeć. A jeszcze wszystkich strach stanąć blisko której. Tam w tym mieście niedługo my pobawili, bo się panu ~~śpieszyło~~ mojemu, z Pizy do Florencyi.

— To jaka jego pani?

— Nie, to tyż miasto. Siedliśmy znowu na kolej i jedziemy. ~~[illegible]~~ Musieliśmy przez cało- ~~[illegible]~~ tunelów przejeżdżać, że się aż ciężko dychać. Było ich chyba coś ze sto. Z tego dobrze pamiętam, iże ~~to~~ ~~[illegible]~~ się wszędzie, ~~[illegible]~~ że się co chwila ściemniało; ~~bo~~ pan se ~~[illegible]~~ przez wyjadał ~~[illegible]~~ karty, rozgrywał i różne inne, tak się ta sam, nie tracąc czasu, przyuczał.

Ale nic dobrego bliższego nie podziałem wam o tym panie moim. Skąd był, to nie mogę wiedzieć, bo jemu samemu nieraz się myliło, jak się przedstawiał nie mnie, ino drugim panom. Jeden raz ~~powiedział~~, że jest od Warszawy, inszy raz, że z Galicyi, to znowu, że od Poznania. Może być ze wszystkich trzech miejsc, bo, jak powiadał, miał dobre [illegible] i nie ino pod jednym cysarzem. Gadał, że jest hrabią pewnie oświeconym, i żeby go tak przy ludziach nazywać. Ja tyż to jeszcze wolał, bom się mógł przed ludźmi szczycić, a iże hrabiemu, nie lada płatkowi służę. Lat miał może ze trzydzieści kilka, do czterdziestu. Talentów miał dużo. Umiał fotografować przepięknie — niejeden odbit na papierze, coby nie każdy był poznał, choćby nie i nie znał przedtem. Umiał grać w karty na ~~wszelkie~~ wszelejakie sposoby i jakąsi grę jeszcze znał, co się nazywa ruleta.

Wykształcony był we wszelkich sztukach — no, jednem słowem: uczony. Strasznie był dobry człek z niego. Ale to się z dalszego opowiadania pokaże.

Zajechaliśmy do tej Florencyi i zamieszkaliśmy w hotelu, nie bacz, jak się nazywał. Miasto w kwiecie. Kwiatów tam tyle po murach i po drzewach i każdy jeno miejsce pełne, że niewiadomo, czy to miasto prawdziwe, czy ogród. Żeby zamiast kamienic stały ule, byłoby też tam miodu! — westchnął jakiś stodolany.

— Poza miastem jest wzniesienie; jak się stamtąd popatrzeć, to cała dolina jakby po góry jeden kwitnący sad. Białe, czerwone, niebieskie, wśród nich pełno zieloności. Są tam i drzewa dziwne, jak jałowce, a takie wysokie, jak smreki. Zaś te, co mają być smreki, to także jakieś delikatne w szpilkach i we wszystkiem, żebyś wnet na którymś powiedział: pani smrekowa, a nie smrek.

Ale wróćmy do miasta. Jest tam na środku kościół taki wielgi, że się jeszcze muszę strachać na samo wspomnienie, jak oni tak ku górze stawiali. A cały jest po wierzchu z białych i czarnych kryształów.

— Ho, ho! mościwy — dziwowali się słuchający — co to za cuda dziwne...

— Zresztom to tam już nic godnego nie ma. Sklepów pełno, jak wszędy po miastach. I to niepotrzebnie poza szyby mi wystawiają — po to, coby ino ludzi kusić na szybkie grzechy główne. W jeden dzień wziął mnie pan ze sobą do takiego gmachu, co nic w nim nie ma, ino same obrazy. Sal tyle, co ani porachować, a we wszystkich obrazy po ścianach wiszą, i to od góry do dołu — a niektóre takie są ogromne, że całe ściany zabierają. Chodziło tam dużo państwa i przyglądało się tym obrazom. Ja się też począł przyglądać. Niektóre mi się podobały. Były tam malowane takie dzieciaki, jako żywe. Dość-ciem się nacudował; a to tyż tak sądzić.

ale niektóre były i takie, co je bezbożniki jakieś musiały malować: niby to święta, a – wybaczcie – goła, a nawet ~~[illegible]~~ zupełnie same sobie.

Upatrzyłem se w jednej sali ~~[illegible]~~ niedużej obrazek, co mi tak strasznie spodobał, i chciałem kupić do chałupy. Pytam się jednie: „Ktoś wy tyż, ze ten obrazek chcecie?" Pan się ośmiał i powiada, że nie sprzedadzą. „Jakto? to nie na przedaj?" „a nie – powiada – to jno na pokaz. Zresztą, powiada, choćbyś dwie ~~[illegible]~~ to by wam nie stać było." „Kieloż oni to cenią?" – pytam. „Ze dwieście tysięcy". Myślałem, że żartuje. Ale coby ta. Tak ze Włochy musza panów oszukować. Jeszcze tyż myślę: Włochy se mają, skoro się tak drogo!... Juz ~~[illegible]~~ nawet nie chciał spytać. ~~[illegible]~~ Błąka się po salach, bo pan jeden ostro jakiejś panom towarzyszyć. Myśli se: po co tyż to tak tego na kupić? Wyjdź na jarmark i prędko. Było sporo centów, a tak się marnuje.)

~~[illegible]~~ Ino dłużej my tam w tym mieście siedzieli, tym to bardziej Włochom na ~~[illegible]~~ gorzej wychodziło, bo się przekonywał co dnie, jako to naród ~~[illegible]~~ okpiszy. On nawet swojego ~~[illegible]~~ rodzonego cysarza oszukuje. Jakich oni tam urzędów ni mają! Są tacy, co jno oprowadzają ~~[illegible]~~ cudzoziemców i za to biorą pieniądze. Są tacy, co chodzą i noszą przy sobie zygarki, coby się ich tyż kto nie spytał, która godzina, i za to ze kazyje płaci. Abo taki ~~[illegible]~~ urzędnik, co chodzi, jak dzień długi, po mieście, trzyma karteczkę na siarka, żeby do ziemi dostawać, bo mu się schylać nie chce, i szuka, czy kto czego nie zgubi... Tyle ludzi! A są wreszcie i tacy (tych najwięcej), co już całkiem nic nie robią. Bóg litościwy, że ich odziewa i karmi, bo jakby na mnie padło, przedy, tobych ~~[illegible]~~ to wszystko z kretesem wymorzył. Żyją se – ludzie – powiedziałbych – ale ja ci nic nie dopomogę.

— To oni wam ta musieli ścierwo dopiec — ozwał się któryś ze starych Tatarów, że się tracą na nich dobry... A takie-ż ładnie oszpeci...

— No nie, najgorszy więc naród nie jest, to ino tam w tym Florencji... wiecie, czem oni nas tam żywili?

— ?

— Ślimakami i bobem, a dyabeł wie jeszcze czem, — bo je się nie tknęło tego.

— Ehe, tame to!

— Podaje obiad. Pan osobno je, ja osobno. Naprzód jakieś pomyje zmieszane. Pan odstawi. Przynosi mnie. Powąchałem i mówię: „Weź se." On powiada: „Kon prosinto!" „Ehe, — to widzę prosiz", ciądeśże nie rozumie. Podaje drugą potrawę. Pan próbuje widelcem — odstawi. Przynosi mnie. Patrzę — jakieś smaty z cytrynowego miąszu. Jakiż to jest? Weź se. Podaje trzecią potrawę — ta sama historya. I tak dalej. Wreszcie tyczał przynosi coś zakrytego na talerzu i patrzę — ślimak jakiś. Ledwom wytrzymał, żeby mu tego ślimaka do gęby nie wepchnął. Naostatku już zły wielki, ale się uśmiecha, jakby chciał: „To wam panie musi smakować" i podaje bób we strączkach, świeży i jeszcze mocno niedojrzały. No! Tośmy se pomyślał: „Boże Pan Bóg cię, tychu, głodowem śmierciom umrze." I poszedłem spać. Nie wiem, co pan robiło. Ale musiał pewnie coś z tego zjeść, bo na drugi dzień skarżył się na brzuch — i potem już z tym brzuchem do końca tak było.

Wreszcie my postanowili pojechać do Rzymu.

— Hej? To tam Rzym jest? — spytały kobiece głosy.

— Rzym jest, i Jerozolima, i wszystko jest we Włochach.

— Toście i w Jerozolimie byli? — pytały dalej niewiasty, patrząc na Jędrka, jako na świętego.

— Nie, tak my jesce nie dojechali, bo pierw pomiędzy Orawków.
— Toście na piechoty mogli już dojść. Tak blisko..
— Jakie w tym Krymie? — pytali ciekawi.
— Pocekajcie, nie śpieszcie sie, wszycko będzie na czas. Jak my postanowili pojechać, tak my siedli na kolej i jedziemy. Ale insze chciałem wam powiedzieć, że tam z temi kolejami jakiesi cygaństwo być musą. Na każdej stacji otwierają wszyckie wagony na oścież i każdy wchodzi, kaj mu sie podoba. Nie tak, jak u nas, co wszycko po sprawiedliwości wyznaczane, i trza, chcący jechać, pięknie prosić, coby tyż kany wpuścili. Tam telo płaci żebrak, co i poczciwa osoba, wszycko sie ze sobom miesza, chyba dopiero Pan Bóg na tamtym świecie będzie dzielił i ustawił po klasach podług sprawiedliwego osądku, bo tu już nie da rady: trudno orzenać, kto dziad, a kto bogaty, kto złodziej, a kto ino udaje świętego. Ale jedźmy do Krymu.

Po drodze nie będę sie długo zatrzymywał, bo tyż ta i nie było wiela co patrzeć. Ziemia goła, kieże wstyd — a trafi sie jakie drzewo, to sie biedne konarami modli, że sie aż płakać chce. Nic tam nie sadzą, ino mało we jakieś drzewa. Nic tyż nie sieją, ani kapusty, ani żyta, ani owsa — nic nie uświadczy na polu. Ziemia tak próżnuje darmo. To tyż Pan Bóg im nie błogosławi...

Przyjechaliśmy do Krymu — już sie zmrocyło, światła zapalali. Na stacji telo piekła, że chocby sto jarmaków zegnał w jeden kosar, toby nie było głośniej, myślę. Co ino łakomstwa w Krymie, to sie tam zleciało. Ten ci zachwala hotel taki, ten taki, ten znowu insy — tamten już głos stracił od krzyku, ręcami ino jakieś znaki daje — a wszycko jak osalałe. Tak, jakby ratować chcieli podróżnych z jakiegoś nieszczęścia strasznego. Otocyli pana całkiem, wydawało sie, że go już zaginą. Do —

~~i dalejże mi pomagać. Je nać dźwigać siódmak~~ ~~i kufry~~. Skoczył mi ktoś na pomoc, ~~ale~~ ale nie-poradę było, bom ~~wiózł~~ dźwigał kufry przy sobie, a potem obskoczyła mnie zgraja dokoła – i ~~tam się było zaczęło ogarniać. Tego~~ dalejże mi pomagać... Ten ciągnie w prawo, ~~w~~ ten w lewo, ten w tył, ten w inną stronę – widziało się, że mię już rozerwą, bom kufrów nie wypuszczał z rąk. A drę się, jak tysiąc dyabli. Mnie też złość porwała wściekła i ~~[illegible]~~ wrzasnąłech na cały głos: „Psia krew!". (To pierwsze słowo, com w Rzymie wypedział. ~~Niech mi Panienka tego nie notuje~~. Ale tak było, bo jakże. Niechże mi Panienka tego nie ~~notuje~~ zapamiętała, a przech[illegible] na spowiedzi.) Odskoczyła zgraja na bok ~~tu~~ ta – jakby piorun w nią ~~t~~ trzasł. Rozumieli ~~Widziałech~~, że po polsku można się rozmówić, ino tak ~~dosadnie~~, ostro, bez ~~[illegible]~~ bez bojaźni.

Pan wziął mniejszy zgodził ku już ~~z jakimsi~~ tymczasem z jakimsi złodziejem i ten nas wepchnął do ~~skrzyni z oknami~~ takiego wozu, co jest jak skrzynia z oknami. Chciałech pana ostrzec, żeby się nie dawał tym oszustom do rąk, ale już było zapóźno, jakech nadbiegł; bo pan już siedział w tej okazyi; musiał też i ja wyleźć ku furmanowi, ~~pak~~ kufry wyrzucić na dach. ~~Tak~~ Cóż było ~~robić~~ – pojechali my – ale ani słowa ~~bez~~ przez całą drogę przez miasto do furmana nie pedział. Nie było tyż czasu gwarzyć, chociabych i miał był ochotę, bom się rozglądał na obie strony... Przecie to Rzym! – myślę se. Ale jakoś nic na to nie pokazowało. Kamienice, jak i wszędy po miastach, a nawet nie takie cudne jako ~~we~~ ~~[illegible]~~ Wenecyi. Gwaru, turkotu dość – i tyle pierwszego dziwu. Zajechali my do hotelu, gdzie zaraz nas się ocyganiła myśl – ~~które~~ tu przecie jest ludzi wszelkich niezwyczajnych, jak nie.

~~Tak~~ Zaraz na drugi dzień rano prosiłech pana

mojego, coby mi tyz pokazał, ktorędy sie idzie do ~~kościoła~~ św. Piotra abo Pawła, bo bych tyz chciał podziękować Bogu, ze mnie tu szczęśliwie i tak niespodziewanie doprowadził. Pan ~~ty~~ zaś był tela dobry, ze sam sie ofiarował ze mnom iść na miejsce. Przyszliśmy przed kościół św. Piotra, i tam-ech sie przy- [illegible] w kryjomie [illegible]. Kielo tyz to stopni ~~st~~ trza przejść, nim sie wydrze do kościoła! Bodaj, wszycowie przez to ~~to~~ (pewnie) chcieli pokazać, ze tela stopni jest do nieba. W kościele w środku nie jest tak piękne, jak u św. Marka w Wenecyi, ale tyz za to gmachysko okropne ~~do~~ przyć ~~naszych~~ ~~takich~~ neskich kościołów, ~~jak nasz~~, wszystkie byście letko schowoł. Zestanowiło mnie to, ze ludzi niedużo było w kościele. U nas we święta, kościół ni może pomieścić, i na polu stoją pod dzwonnicą, a tu taka przestronność — i niekogo prawie. Msze św. się odprawiały, ale mało kto ich słuchał. Kielkoro panów i paniów chodziło od jednego ołtarza do drugiego, jakby na jaką pokutę; inni, ktory ~~modlili~~ modlili sie ~~tyz~~ z cyrowanych książek, podobnych, jak pan mój miał. Ja sie tyz pomodlił, niewyszystkiego, jakech umiał, podziękowałech panu Jezusowi ze wszystko, czegom nie godzien, i św. Piotrowi ofiarowałech pare paciorków — zresztom nie było tam juz co robić.

Poszukowałech pana, bo mi sie kansyś stracił i popatrzałech, cy tyz nie ujrzę ojca świętego, bo-m wiedział, ize niedaleko mieszka. Myślałech se w duchu, ze może zejdzie do kościoła, abo msza święta będzie miał... I co który ksiądz sie nawinął, to mnie juz nogi podrywało. Ale żaden nie wydał mi sie godny. Dopiero potem pan mi wytłomaczył, ze ociec święty ze rzadka zjawia sie w kościele i to nie tak po prostu, jak ~~byle ksiądz~~ by se kto myślał, ale z wspaniałościami wielgą / tela pompą. No ale juz tyz tak, jak stek głupi

nie wiedział zgoła o tem.

— To-ście Ojca świętego całkiem nie widzieli? — pytały zawiedzione słuchaczki.

— Widziałem Go tak zbliska, jak was tu widzę, ale do tego dopiero dojdziemy. Teraz my stoją w kościele św. Piotra, to nie przeszkadzajcie, boby się mi pomieszało.

— No już nic, opowiadajcie, bo to wszystko święte rzeczy, co może ich i ksiądz nie godny widzieć — przytwierdziła ktoś ze starszych, i Jędrek [illegible] do wszystkiego opowiadania powrócił.

— Znalazłem wreszcie pana w jednej z pobocznych kaplic. Stał z jakiemiś paniami dwiema; jedna była starsza, druga młodsza, taka, jakby jej córka. Poznałem zaraz, że to te panie, co były w tym czasie we Florencji, któremy byli. Miało mi przyjść na myśl: kto tyż za kim jedzie — czy my za niemi, czy one za nami? ale że to w kościele było, tom już nie chciał obrażać Pana Boga głupią myślą. Skłoniłem się im grzecznie, jakem umiał, i stanąłem ze z boku. Dosłyszałem, że po niemiecku rozmawiali, i widziałem tyż potem, że o mnie mówili, bo mój pan na mnie oczami wskazował, ale udawałem dobrze, że nic o tem nie wiem, nawet przysłuchiwałem trochę na tę chustę. Dyabeł mnie kusił, coby podejść bliżej, ale ja się nie dał skusić, bo i tak [illegible] jego powiedź słyszał, chociaż to i przysłuchiwał wszystko, iże pan się chwalił mną i powiadał, że już od dwóch lat u niego służę, a pani się [illegible] [illegible] moim bożym strojem. Miałem se pomyśleć: żeby mi to pan za te lata [illegible] policzył, to [illegible] te już byłaby prawdziwych [illegible], ale że to w kościele świętym było, tom se już nic nie pomyślał, ino mój [illegible] pomodlił do obrazu, co był wymalowany na ścianie i [illegible] niezgorszem, rychło się pan mój uwolni. Ale kiebyś ta! Obejrzał się jeszcze, to do jednej kaplicy z niemi.

Poszliśmy wraz, bo i ja też — ino mi pan wcześnie zapowiedział, coby nie razem iść przy nich, ino w odległości niedalekiej za nimi. „Ja też tak pieszo wolę!" — powiedziałem, ale po prawdzie to mi się to nie podobało. Znam, jako naród, tak samo mi przykazował, ale potem to my chodzili wraz obaj i jeszcze mu było śmielej przy mnie. I teraz mowa przy ludziach... No ale dumam: „pan jest na to, coby miał swoje humory. Ja mu ta ojcem nie będę. - Widzi, jednego i ten go Bóg nauczy, to co on winien?" I poszedł ze mną do tej kaplicy. Alem zatoczył. Bo tyż było się czemu przypatrzyć! Jest tam całe piekło i niebo, i sąd ostateczny, i co było na świecie i będzie, to wszystko jest wymalowane. Ba, to nie, wymalowane — ale wszystko, jak pan mówił, że to sam święty Michał Anioł wymalował!

— Mościewy, toście wy już chyba zupełnego na wieczne czasy odpustu dostąpili, skoroście przy takich rzeczach byli, które ino w niebie, jak Bóg łaskawy da komu, oglądać będzie można — mówili słuchający, a Jędrek nie przerwał temu i dalej ciągnął swoje.

— Potem wyszliśmy na miasto, odprowadzili my te panie do ich mieszkania — niedaleko od pałacu Ojca św. mieszkały — i wróciliśmy do swojego Boccacio, bo takie przezwisko miał nas hotel. Wesoło tam w tym hotelu było, ino to było niedobrze, żeś już bez całą noc oka nie godzien był zmrużyć. Co chwila to „sur-sur" poza ścianą, jakby sto kóp myszy wesele swoje odprawiało, to znowu śmiechy takie, jakby się boginki... gziły. Nie wiem, jak ta panu mojemu się spało, bo my nie razem sypiali, ale chyba że nijako, bo się dość często na głowę uskarżał.

Uciszało się dopiero ku ranu – ciek się radował, że się zdrzy-mnie choć na tę małą chwilę – ale cobyś!.. Ledwoch zemrzał – jak wrzaśnie ktoś z ulicy!.. Pierszego dnia tom się zerwał na równe nogi. Myślałech, że się ~~pali~~. Krzyczy pali. Wyzieram oknem, kany co takiego, a to mała skucina, Włoch, wiezie na wózku zie-leninę i tak się drze okropnie, jakby go kto ze skóry łupił. Legam na nowo – znowu! „Żebyś ~~na wieki połamał" – życę~~ na wieki ochrypnął!" – życę mu już we złości. Oje, za chwilkę trzeci, czwarty – i tak do śródpołnia. Za parę dni tom już całą tę litaniję wrzasków znał na pamięć. Ledwo się na świat uwidniało, już woła: „finsalata! salati!" potem: „spinaci! asparagi!" ~~V i dyabeł ta już wypomnia ta resztę~~. Z ~~Każdy inszym głosem się na to drze~~ to na rozmaity sposób: jeden krótko, jakżeby go w podeszwy parzało, drugi przeciągle, jakżebyś go na wolnym ogniu przypiekał, inszy żałośnie, jakżeby mu ociec przed godziną skonał, a każdy ino o tem myśli, żeby ~~drugiego przekrzyczeć~~ się nagłośniej... Po paru dniach poznawałech już wszystkie po głosie.

V Skoro z jarzyną przestali, zaczynało się z gazetami: „La Tribuna! Avanti! Il popolo!" – i dyabeł ta już wypomnia resztę.

Jeden był – ten, co najwcześni zaczynał – taki już z tym głosem przeobmierzły, żebych był wolał wilka na pustym polu usłyszeć. Jednego ~~dnia~~ rana pan woła na mnie bez ścianę: „Idźno, Jędrek, ~~zamknij mu zastanów go~~ uspokój go, bo mi głowa pęknie!". Mnie było ta nie trza było dwa razy ~~gadać~~ gadać. Jeśm już dawno miał złość na tego byczka, bo widzi mi się na despet tu się tak darł, coby nas skłócić – z daleka słychać go było dużo wcej. Zebrałech się w tej minucie, nawet-ech kierpców nie obuwał, wypadłech na ulicę, dołapiłech go i omłóciłech po gębie w porządku. Byłbych go był i więcej ukrzywdził, ale ~~się~~ mnie ~~tak~~ lutoś wzięła, bo to nikłe było, myślę se: „Bęs miał dość!" Wróciłech do stancyje, pan się bez ścianę pyta: „Coż tam?" – „Już uspokojony."

odpowiadam. „Dobrze" mówi „ale cóż to za krzyki?" Rzeczywiście słychać było krzyki i hałasy z dołu. „Pódę wejrzeć" powiadam. Ledwoch do schodów doszedł, a tu się wali cała tłuma Włochów, krzyczą, gdakają jakoś po swojemu i chcą mnie oczywiście zaaresztować. „Jakim prawem?" pytam się, „ja tu nie swój, bo ja służę u pana." Ci nic, ino do mnie. Ja tyż: „Jak nie ustąpicie" – mówię – „to was wszystkich co do jednego wymietę!" Na to wyleciał mój pan bez ubrania i zaczął z nimi wiele gwarzyć ~~[illegible]~~ się kłócić, dopieroż mnie opuścili, ale nie odeśli, aże im pan zapłacił dwadzieścia lirów, jako sztraf za mnie, bo się pokazało, żech nie tego uspokoił, co trza, ino inszego jakiegoś przechodnia. Potem pan mi powiedział, ~~[illegible] nie byli zamkli~~ że mnie ino la tego nie zamkli, iże za mnie za niepoczytalnego podał. ~~Niechże mu ta Bóg grzychy odpuści.~~ No dobrze, myślałech se, ale to głupie ich prawa, bo chociaż i czytelny był, to przecie ten człek, com go niechcący ukrzywdził, nimiał na gębie napisane, że nie ten. Niech mu ta Bóg grzychy odpuści. Ani nie wie żebrak do dziś, za co odpokutował.

Potem ~~już~~ wolałech cierpieć, aż nie dałech się przez kości porwać. Klnąłech ino i życzyłem im takiego samego dobra, jak mi zadziro tymi włoskimi piekli. Myślę. Tech se pytam rozmaicie, ~~[illegible]~~ na ten przykład: „Od czego tyż rząd jest, że tych bydłów nie połapie i nie pozamyka. Żeby to jeszcze kajindziej się darli, no niechby, ale w samym Rzymie! Oni pewnie na despet tak Ojcu świętemu... coby oka nie zmrużył... Biedny i on – myślę se – tak musi pokutować niechcący, jako i ja. Święty jes, to się nie gniewa, ale na inszego... (tak na mnie żeby padło), to byłby to ~~[illegible]~~ wyklęty z kościoła – niechże się w piekle dręczy po śmierci!"

I jesce róźnie se myślałek, ale juz bez gniewu. Jak mi ten Ojciec święty przyseł na myśl, że jest taki [illegible], to tak i mnie złość opuściła, i dodawałek przy każdym paciorku:

„Ofiaruje Ci tyz Panie Jezusicku i Wam Józefie święty te wsyćkie utrapienia, jakie od tych hyclów doznaje: na uproszenie łaski przenajświętsej, na odpuscenie wsyćkich grzychów moich i na więksą chwałę Twoję, Amen.”

— No dobrze wsyćko, Tadusz — przyświadcyli, skoro Jędrek wytchnął — ale o Rzymie nic nie opowiadacie, a my ciekawi...

— Miałek właśnie zacąć skroja, i przerwaliście mi... Jakże, o Rzymie? przecie to nie osiedle, cobyś obseł dookoła i powiedział o niem zdanie: takie, a takie... Przecie to miasto, właściwie trzy miasta w jednem okolu: stary Rzym, co sie juz zwalił, nowy, co jesce stoi i najnowszy, co sie dopiero stawia; ale bracie im wdzie przyjdzy, i ni mogą go skońcyć; widziałek rzędy kamienic niepodkońcane ino bez okna świcą — i tak stoją, [illegible].

Byliśmy i w starym Rzymie. Dziwne to tam doprawdy, mało który gmach, coby był cały, a niektóre juz całkiem rozsypane, ale tyz dziwni i ci cudzoziemce cy jangliki, co po tych rozwalinkach chodzą; każdy słup obwąchają, każdy kamień spróbuje, cy słony, jak na ten przykład owce, kiedy spotkają kruch soli. Oni by tam pewnie, jakby mogli, cały Rzym po kamieniu po cegle rozkradli — i za sto lat miejsce by ino świadcyło, kany Rzym stał. Takie te jangliki zmolne.

Byli-my i tam z panem, kany chrześcijan męcyli. Straszne gmaszysko, przeogromne! Ani do cego przyrównać. Cały Nowy-Targ wnetby sie w nim zmieścił. Do sądnego dnia pewnie będzie trwać na hańbę i na świadectwo przeciw okrutnikom.

25.

Byłech tyż w jednej ~~bóżnicy~~ pogańskiej bóżnicy, co się podmuchom ~~[illegible]~~ wieków obalić nie dała – niech mi tego Panie mój na ~~[illegible]~~ ludzie nie spomnią, bo mnie cie-kawość parła wyjrzyć, co oni to tam, jakiego ~~bałwana~~ ciełca ćcili. Ale nic nie było w środku, wyszedłech ~~sta-[illegible]~~ dużo zawiedziony.

Za to potem, ~~[illegible]~~ Bogu niech będzie niewymowno, byłech cosi w stu ~~[illegible]~~ kościołach albo we więcej, bo ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ trudno było ~~[illegible]~~ dorachować. A jeszcze tak połowy nie doszedł.

– To tam się dopiero będzie modlą! – wtrąciła któraś z kumoszek zazdrośnie – Cały dzień pewnie, i mają czas na to...

– Hale! Tyż za to, że tela kościołów, to się ~~[illegible]~~ z nimi oswoili i tak se im to widzi równo, czy kościół, czy co innego ~~[illegible]~~. ~~[illegible]~~ Nijakiej czci nie widzę. Byłech na paru nabożeństwach, toch się ~~[illegible]~~ przypatrzył i przysłuchał wszyćkiemu. Ludzie se chodzą, ~~[illegible]~~ rozmawiają, nikto na księdza uwagi nie dyje. Dopiero jak na chórze zaczną śpiewać, to się w kościele ucisza. A po śpiewie zaś to klaskają w ręce, podobnie jak to w teatrze, ale wyście nie widzieli. To wiecie tak, jakby ~~[illegible]~~ to małe dzieci, kiedy są rade czemu.

– Co wy tyż opowiadacie!

– To wiecie takie tam nabożeństwa słuchałych...

– Oni se wierzyć nie chcą.

– Nie wierzcie, jak nie chcecie, je was nie będę przy-musał. Ale to święta prawda, co wam opowiadałem. Jakże-by ja miał ~~[illegible]~~ o Rzymie ~~[illegible]~~ kła-mać?

– Juści że trudno, bo jakże... O to was tyż nik nie po-sądzi, broń Boże, ino się tak dziwno zdaje... To i księ-ży musi tam być dużo, skoro tela kościołów.

– Ba! Księży jest takie mnóstwo, że aż ciemno.

~~[illegible] jako i nas,~~

Nie ino miastowi są, bo się z całego świata tam zjeżdżają. Ulica nie przejdziesz, żebyś dziesięci zamorskich nie napotkał. Biedne niektóre takoż, że aże żal.

— Z ~~t~~ czego oni tyż tam żyją?

— No ci, co miastowi, to pewnie z kościołów. A reszta to się pewnie u ojca świętego wiktuje. Ale czekajcie, nie przeszkadzajcie mi, niech opowiadam do kraja, bo mi się miesza. ~~O niczem przyszłości~~ Jakby my do uczciwego końca nijak nie dotarli. Jedno, com powinien był ~~opow~~ opowiedzieć wcześniej, dopiero teraz mi przychodzi. Jednego odwieczora pojechali my z panem na korso...

— Cóż to takiego?

— Jakże wam powiedzieć!.. Bo się to właściwie nic tak nie nazywa, żadne miejsce, ino to oznacza miastowy obycaj. „Na korso" to tak, jakby powiedzieć „na przejażdżkę." Codzień nadwieczorem o tej samej godzinie przyjeżdża państwo w powozach do ogrodu na górkę, co się ~~wo~~ Montepincio nazywa i skąd cały Rzym widać, i tam se zabawę stroi, przejeżdżając dokoluśka po tym ogrodzie po dwa~~dzie~~ście i więcej razy.

Pan najął powóz, kazał go ubrać, taksamo tyż i konie, mnie kazał siąść na wysokiem siedlisku przy furmanie i ręce założyć, a sam se siadł na niższem — i pojechali my. Państwa już jeździło dużo — mijali się, doganiali, i znowu nazad — a ~~tr~~ co który powóz to ładniejszy. Jeden był, co się odróżniał od wszyćkich. Konie czarne, ~~poubierane~~ ~~przy~~ jak kruki, poubierane w bielutkie girlandy, furman i lokaj na przodku, a w powozie, na którym były herby malowane, siedziała ino jedna pani strasznie piękna i wystrojona, tak, że się aż w oczach mieniło, gdyś pojrzał. Pan mój kazał furmanowi, coby koło tego powozu jeździł bez przestanku, toć się mu miał czas przypatrzyć. Widziałem, jak ta pani poziera na mojego pana, i on tyż na nią — myślę se: „Na coś się zanosi!" Życzyłem z duszy panu, bo

widać godna osoba i majątek musi mieć niemały, skoro w takiej paradzie se jeździ.

Pan miał postanowienie ożenić się z tamtą, co była z matką u św. Piotra, ale się okazało, że i ona tyż majątku szuka — i tak się ni mogli zgodzić. Dobrze się stało — [illegible] — bo rześ co do te wpowszić to ani przytykać; tamta mogła by [illegible] za pokojówkę być u te hrabinie, i nikt by nie powiedział, że to nie pasuje. ~~Myślę se~~

Myślę se: „Żebych tak strykem był ~~pana~~ mojego pana, tobych mu jino tę rację, i samtych nar namowiły poseła, i potela byłł ~~[illegible]~~ mukał, azby się przemarcc nie wypełniło." Widać przeczuła, com se w duchu myślał, bo poziarała i na mnie łaskawie. Skoro my się ze zjechali tak, że konie szły ~~[illegible]~~ parze, dojrzałem, jak rzuciła kartkę mojemu panu do powozu. „No to już dobrze!" — pomyślałem i nie omyliłem się. Pan był potem cały czas uradowany i mnie dał [illegible] kiełbie. Z tych [illegible], jeden na ofiarę, reszta, coby się panu w tym interesie poszczęściło, bo by ta i mnie co ~~kapło~~ więcej kapło z te obfitości.

Do te hrabinie pan często zachodził i mnie raz posłał z listem. Ale trafiłem na taki czas, że jesce nie była ubrana, ~~[illegible]~~, i wstyd ~~mnie~~ było strasznie. Jakosi pan sam u niej był, może brat abo dochtór, bo się ich nic nie wstydziła.

W tym czasie byli my tyż u Ojca świętego...

— No, przecie! — ozwał się głos w gronie słuchających niewiast. Niektóre, dalej siedzące, wstały i bliżej podeszły.

— Ale to już musiał jakiemuś świętemu przypadać, iże nie tam doprowadził, bo to nie tak łacno, jakby się wam mogło zdawać.

Pan mój, jako ze szlacheckiego rodu, wystarał się za protekcją znajomego księdza, iże mógł (czyli biskupa) ~~mie~~ być dopuszczony przed święte oblicze z kielkoma osobami wysokiego stanu.

Jak-ech się ino o tem zwiedział, molestowałech pana, coby mnie ze sobą przywziął. ~~Z początku~~ ale pan powiadał zrazu, że to ni może być nijakim żywym sposobem, bo tam ino jako pielgrzym ~~człek prosty~~ i to nie sam jeden może być dopuszczony. „To ja będę jako pielgrzym" – mówię – „i nie sam będę, bo z panem." Na to pan się oześmiał. „No ~~ki~~ skoro tak gwałtem chcesz" – powiada – „to cię wezmę, ale nie dalej jak do drzwi, za którymi będzie Ojciec święty. ~~Juz uproszę, coby cię puścili~~ Możesz tam na mnie poczekać i możesz się ~~porozpatrować~~ tymczasem porozpatrować po salach." Nie było mi to na wolę, ale coż miałech robić. Dobre i to. Myślę se: „Niechże będzie, jako będzie!"

Skoro dzień przyszeł, umyłech się, przeobułech nowe onucki, a pan się na czarno ubrał – i pojechalimy.

~~Jak-ech wstępował po ~~schodach~~ stopniach ~~stopniach, schodach~~, to mi tak serce biło, żech się o ścianę musiał oprzeć coś ze trzy razy. Alech se potem pomyślał: „Przecie tu Ojciec święty mieszka, nie żaden straszny monarcha – coż się mam bać?", ~~I już~~ i już-ech śmielej ze panem moim postępował.~~

W bramie pałacu wstrzymała nas warta, ale nas potem przepuściła, skoro pan ~~paszport~~ papier pokazał i coś z oficyrem porozmawiał. Jak-ech wstępował po stopniach, to mi tak serce biło, żech się o ścianę musiał oprzeć coś ze trzy razy. Dzianwary stały na każdym zakręcie – po dwóch, straszne wojennego wzrostu. Alech se potem pomyślał: „Przecie tu Ojciec święty mieszka, nie żaden straszny monarcha – coż się mam bać?", i już-ech śmielej ze panem moim postępował. ~~Jak my po [illegible] stopnie minęli, to my [illegible]~~

Zaślimy wreszcie do sali, kanych miał na pana czekać. Oględnąłech się – dokładnie tak, jak w kościele. Marmury, wyzłocania, malowania różne. ~~[illegible] Koło drzwi, [illegible] które my weszli, stało dwóch rycerzy z pikami~~ W głębi przy jednej ścianie stało dwóch rycerzy ~~z długiemi~~ w mundurach żółtych z białymi paskami – czy tyż naodwrót, bo nie baczę.

a koło drzwi stoło kielka panów i rozmawiali po cichu ze sobą. Pan sie tyz ku nim przybliżył... Myślę se: „To pewnie za tymi drzwiami bedzie Ojciec święty!” I takech sie wierciuł, nie zapamiętał, że sie stanął bliży drzwi, niźeli panowie. Stoję se niby tak bez żadnego zamiaru, a medytuję: „Żeby sie tyz jako dostać do Ojca świętego, coby mnie ino pobłogosławił. Niech już potem bedzie, jako chce.” Poruszenie sie zrobiło wśród ... koło ze drzwiami, panowie sie przybliżyli. Serce zadygotało, nasłuchuję. Pan mi powiada: „Nie pchaj sie! Ja nie, widzisz, że sie ... słyszę. Kaz sie bedziesz człowieku grzyszny pchał, jak nie do zbawienia?”

Wte razy drzwi sie otwarły, i tam wygarnie ... [illegible], bo mnie widać w stroju wzięli za ślachcica, a o panu moim myśleli, że to mój lokaj, i mnie naprzód przepuścili, a pana odepchli. Nie wiem, jako sie ta sprawił i czy go potem dopuścili, jak im wyłożył wszystko, bo ja już na nic nie uważał, ino prościutko, jako kot wszedł do Ojca świętego... Dziś go widzę, jak se siedział na wysokim krześle, biały godzbek, chudziutki, zmizerowany, biedny, że mi sie aze żal zrobiło. Jesce mu ta święty jakisi ciężar włożyli, że sie aze zgiął pod nim... I tak se siedział, a koło niego stało panów wielu czy biskupów, bom im sie już nie przyjrzał dokładnie. Zmachnąłech przed nim na kolana: „Ja tyz nie godzien” – mówię – „ale mnie tyz pobłogosławcie, jak wasza wola święta...” Popatrzał z doła ku niemu zadziwionemi ocami – i On tyz, wydziwił mi sie, zapłakał nadaremnie – i tak my se obaj zapłakali. Potem przemówił coś po taliańsku, wyciągnął rękę, pobłogosławił mnie uroczyście i dał mi naostatku pozwolenie do przyjmowania. Wtedych, jak wiem, najlepszej opiły, i wyszedłech tak lekko, jakbych skrzydła miał we nogi. Wychodzęcy, pomyślałech se: „Żeby sie to tak do nieba bez wszystkiego dostać...”

— No, to-ście już nalepszego na świecie doznali, nie żal wam będzie i umrzeć... — mówili słuchacze, zazdroszcząc w duchu Jędrkowi. — A jakże z panem wyszło?

— Nie wiem, jak, powiadam wam, bo już na górę nie czekał. Zaraz-ech zeszedł na dół, bom się i obawiał trochę, że może być źle z tego, jak się postrzegą. Pan mi tyż nic nie pedział, bo zły był na mnie straśnie. Ja se ta nic z tego nie robił — miałech za to błogosławieństwo, to-wszystko — więcej warte, jak pańska przychylność. Zreszta, myślę se: wygniewa się, to się i wydobrzy. I tak tyż było. Długo nie do mnie nie gadał, a potem raz pomału [illegible], coby mi zadzierżał na zawsze, cobych nie nigdy nikomu nie pokazał przed nim pierwszy. Ja mu tyż posłuszność przyobiecał, bo czem mi to wadziło.

Zreszta, kaby ta był o tem jeden wypsiał wsze, kiedy razem miał głowę zajętą. Cosik to częściej zachodził do tej hrabinie, co-my ją na korsie spotkali. Spodziewałech się, że wnet już się pożeni z tem zajęt. Ale potem nie usłyszę o weselu, i już-ech kupsie stracił. Ale wyszło tak, jakech se dumał, bo zawdy jakiś dyabeł musi popsuć sprawę. Przychodzi z Ameryki jakaś panienka, bogata jak [illegible], mieszyście, ale powiadali o niej, że ma pieniędzy więcej, niż milijony. I pan — jeszcze nie dziwota — wolał większy ma[illegible]. I potem, jak amerykany. Kasy się z nią pożenił, i potem jej już wszystko towarzyszył; kiedy niekiedy ono zajrzał do hrabinie. A ta panienka nie bardzo rada byłaby mu rada. Widziałech, żeby mnie być wolała.

— Dud go, zbereźnik! — wtrąciła żona Jędrkowa.

— Nie bójcie się, nie, bo i dyabeł na pieniądzach siedzi,

a bez to nie jest przyjemniejszy... A co zaś, żeby mie ta ~~było~~ chciała, to latego mówię, że jak pan zauważył, kiedy my wraz obie z nią byli, iże ona z nim rozmawia, a do mnie zęby szczerzy, tak mie już nie brał ~~ze sobą~~ ku sobie, ino mie ostawiał i sam jej chodził nadzorować.

Ja tyż ta jeszcze wolał, bom się tymczasem mógł wyspać i po Rzymie se pochodzić, jak sam pan. W tym czasie poznajomiłech się z malarzami z polskiego kraju, co tam się w Rzymie uczyli malować. Straszny to wesoły naród i taki śpasowny, żebyście się im uśmieli! Chodziłech z nimi po mieście — cuda mi popokazowali. A ze raz mie wzięli do siebie do szkoły i odmalowali mie ~~tak~~ całego, jak stoję. Pytali się mnie, czy dobrze. Ja im na to: „Dobrze by było, ino że kyrpców wrodzić żaden z was nie tył, bo nie takie są, jak mają być..!!" Śmieli się temu i powiedzieli mi, żech jest ~~cały grecki~~ chłop grecki, to niby ~~miał~~ mający do rzecy ~~setki~~ się im udał.

A raz znowu pojechałech z nimi ze Rzym do tego miejsca, kany św. Pawła ścięli. Jest tam klasztór spaniały, mieszkają w nim zakonniki, nie barz ino, jakiegoś zakonu. Mają se sklep przy kościele ze świętemi relikwijami i wyszynk poświęcanej wódki, co sami umieją robić. Nazywa się ta wódka ... eukaliptówka... czy tyż jesce inacej, nie barz. Dwoch braciszków szynkowało. Popili my się uczciwie. I braciszków my opoili. Prosili mie towarzysze, coby im zbójnickiego zatańcować... Sprzeciwiałech się, że nie umiem. Ale ci nic, ino: „Musisz, musisz!" Już my się przy tej wódce pobraccili. Ja tyż zatańcowałech im cyfronego naszego... A powiadam, że to zbójnicki — uwierzyli. A braciszki dwaj się tak śmiały, że się aż po ziemi walały. Na odchodnem kupiłech najwięcyjszej dwie relikwie święte po koronie, ino nie barz z jakiego świętego,

tego i przypiórtek tam babiej. Niech se ta ma.

— Może byście tyz udzielili — szepnęła któraś z kumoszek do Jędrkowej.

— Kiedy tyz nima co dzielić — broniła się — bo tak, jak ziarko.

— Wróciliśmy do Rzymu — ciągnął Jędrek — wesoło, głośno, jak z jarmarku. Wszędy się za nami obzierali.

Alech się musiał wnetki z tymi malarzami rozstać. Jednego rana pan powiada: „Zbieraj się, Jędrek, pojedziemy." — „Cy już ku chałupie?" — pytam się. — „Nie" — mówi — „pojedziemy do gór." Ta Jangielka tam pojechała, i pan postanowił za nią. Miałech powiedzieć panu, co się tyz to po górach za babami włóczyć, kiej ich tu dość, ale już nie nie powiedział. Spytałech się ino, rychło wrócimy. Pan powiedział, ze może nie prędko i zebych wziął, co potrza. Pozyjmował rzeczy niektóre, i cobych do niektórych kufrów zapakował, i skoczył pożegnać się do hrabinej. Tego tom już ni mógł pojąć. „Tu do jej, a tam za drugą? Jak to może być?" alech se pomyślał wreszcie: „Cy ja mu stryjkiem abo ojcem? Oświatę ma większą, niż ja, to on ta już wie, co robi."

Wyjechaliśmy ze Rzymu koleją na wschód cy tyz na północ, bo jakech już powiedział, całkiem mi się strony świata popomieszały — i jechaliśmy bez Antykoli i bez kieła miast rozmaitych, ale już nie bacę ich nazwy. Co mi się wydawało dziwne, to to, ze nigdzie wsi nie widać było. Myślę se: „Kany tyz tu chłopski naród mieszka!" Dopierom się później miał dowiedzieć.

Zajechaliśmy do miasta, co się nazywa Subiyako; tam my z koleje zesiedli. Patrzę — górzyska przed ocami, z wierchów trudno dojrzeć. „Jakże my tam w te Tatry

pódziemy ?" – pytam się pana – „możeby my tu zaczekali, ~~na nas, aż zajdzie~~ tę ~~przejście~~ panią ?" ~~At~~ Ale pan se ani przykładał nie dał. „~~My~~ Zaraz – powiada – wyruszymy!" Tak go za tą pangrzelkę gnało. „Ba! wyruszyć możemy – ~~może~~ – ale, jak ~~z~~ ja z pakunkami, pan na piechoty..." – „Nie trôbuj się – powiada. Poszedł do Włochów, co ~~stali~~ stali niedaleko z rę-cami w kieszeniach, i porozmawiał z nimi, a ci poszli i przyprowadzili za chwilę dwa bydlęta, co się w tamtej-szej gwarze nazywają ~~piko~~ granda bestya i pikkola bestya, to znaczy: muł i osieł. Stały te ~~bydlęta~~ stworzenia smut-ne i śmieszne przytem, co niemiara, a pan tymczasem ugodził się za nie i poganiacza najął. „Jakoż my to na tem pojedziemy ?" – pytam się, skoro ~~się~~ pan zaczął – „Dy to takie stworzenia, żeby człek płakał nad nimi i śmiał się. Jabym za życie na tem nie chciał jechać." ~~„Nik ci tego nie każe" – powiada pan~~ Ale pan nie uważał na to, kazał mi ~~złożyć~~ włożyć pakunki na grande bestya, a sam wsiadł na pikkolę – ruszyliśmy – ja z koło grandy, podtrzymując pakunki, bo się waliły na boki, ~~a~~ poganiacz za nami z kijem. ~~[illegible]~~. Była tyż to jazda, bydź! Szkoda, zeście nie widzieli. Uśmialibyście się. ~~[illegible] [illegible] jako tako, [illegible] – [illegible] bydło [illegible] jak my~~ Z początem droga się wznosiła i szła ~~[illegible]~~ na skos przez zbocze, a potem coraz ~~[illegible]~~ stromiej ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ponad przepaścią. ~~Iść taką drogą byłoby [illegible]~~ Pan jechał na ~~przodku na tej~~ jak się już rzekło pikkoli bestyi, ja za panem przy grandzie, a za nami poganiacz z kijem. Co się tyż ten cały drogę nadarł! Już se wyjął ze wsyć kie spokojne czasy. Co chwila, to: „Avanti!x", co miało znaczyć: „wio!" A ~~nik~~ żadne ~~żadne nikto~~ go nie słuchało.

Osioł posiedział tak, że już chyba powolniej trudno, a mnie za nim jak za profesorem. Czasem poganiacz doskoczył, to go jak uderzył kijem, to się wtedy mnie ruszył o ćwierć kroku więcej, trzy ćwierci jużby było za dużo. A osioł nic, nawet pół ćwierci nie przyśpieszył. Siedział zadumany i widział to się, że na cały świat nie uważa. Ale to tylko na pozór, bo w gruncie rzeczy myślał ciągle, jakby się ciężaru pozbyć. Jak rosły cierniaki koło drogi, to, choć miał miejsca dość na drodze, zboczył ku cierniakom i tak się o nie otarł bokiem, że pan w niebo głosy wrzasnął. Albo znowu ponad przepaścią szedł na samym kraju, na ostatnich kamyczkach, choć drogi miał po boku. Co się tym pan strachu najadł, to ani, ani — że żyć był nie chciał.

Środwieczem był, jak my się wierzchowi wydostali. Minęli my zakręt i pojrzym w górę i oczom swoim nie dowierzam. Widzę jakoby mury koło wierchu, jak zamki niepojęte. Okna się świecą, domy... zdumiony. „Pytam się pana, co to?" Powiada: „Miasto, do którego jedziemy." „Hej! także mi pan mógł gadzić! Ja myślał, że ku... w jakie turnie... Miasto na górze od świata." Spojrzałem i myślę: „Hej! będzie wesoło! pięknie!"

~~Widzimy – miasto, jak orle gniazdo nad kamyki w niebiosach, jak ramki nieprzystępne.~~ „Musi tyż ~~tam~~ być wesoło!" ~~[illegible] myślimy~~ i przymaglamy gramoły bestyję, ale kiedyś to powiedział. Droga się robiła coraz ~~stromsza~~ bardziej stroma, ~~[illegible]~~ i ledwośmy się ponykali. Widziało się, że ~~niż z dołu~~ ~~godzinę~~ ~~tam~~ dojdziemy, a tu dobre pół ~~[illegible]~~ godziny zeszło, nim my do murów dobili. Wjeżdżamy... i jakby mnie kto pałką ~~[illegible]~~ po łbie przyrżnął... Smród, brudy, no jednem słowem – [illegible] wieś i te obrazy – nawóz.. Pojrzę na pana – i jemu się niedobrze zrobiło. Ino jeden poganiacz ~~nie traci fantazyi~~, jakby nowe fanfaryę nabył, wywija kijem i wykrzykuje co głosu może wydobyć: „Avanti!"

Na to, ~~jak na [illegible]~~ zahuczało ~~tak~~ mrowie, jak w ulu, pełnym trzmieli. Ze wszystkich okien poczęły się wychylać głowy rozmaite – a najczęściej ~~kosmate~~ śniade i niemyte – i poczęły latać ~~[illegible]~~ słowa, wykrzyki [illegible], [illegible]; jednoch ale ino zapamiętał, co się częściej powtarzało, to jest „forestjeri!" Nie wiem, co to miało znaczyć, ale na to, jak na hasło, począł się naród zewsząd zbiegać, i wnet ~~wszystkie [illegible] dokoła nas [illegible]~~ całe miasto szło już za nami z okrzykami, jakby się nas tu od wieków spodziewali. [Myślę se: „Czy tyż to nie pogany, i czy nie wezmą pana mojego za Mesyasza. Zdarzać się może i to, że ona ośle wjechał." ~~Potem~~ Ta mi przyszło zaraz: „Że jakby tak, to-by nam tu było dobrze. Dbaliby o nas, dawaliby, ~~[illegible]~~ coby ino dusza zapragnęła! Niech ze nich tyż ta Duch święty nie oświeca, pokiela my ~~tu~~ tu – myślę se – bo by my dużo byli stratni!" Tak mnie ta myśl opętała, żech jak w oszołomieniu [illegible]wał: „Cóż, psy, w takim razie! To ja apostoł!" I przybrałech twarz, jak na apostoła. Ino mi to ~~było [illegible]~~,

~~[illegible] [illegible]~~ powalimy po stopniach, ~~bo tam ulice były jak schody~~, ~~prześk~~ przeszkadzało, żech musiał

co chodziło sekretowi, coby onyczek nie
skakał w nerwosie.

W dalszej parodzie posprawowaliśmy po stopniach, bo tam ulice były, jak schody, aż my się wydostali na jakiś plac niedużny. Tu mój pan zlazł z tego osła, a mnie polecił jeszcze zdjąć z grandy bestyi, a potem powiedział, żeby bydlęta pojął.
A odrazowi poganiaczowi pieniądze, za jakie się z nim ugodził, kazał, coby ze bydlęta pojął. Poganiacz na to, niby że się mu nie dowidzi, co mu pan dał, powiada: „Signore! io sono molto fatigato!” To niby, że je zanadto zfatygowany. I wcale nie chce ustąpić. Ja tyż, chcąc panu dopomódz, i pokazać włochom wszyskim, że ja, a przytem i respekt zbudzić, ich gdakanie rozumiem, jak nie skoczę na niego: „Tyś molto fatigato? Ty?! A wiezy-ch wrzeszcę, niżeli-ch się odrazu i ażeś się pokorny zdziwił.” Wiedz — powiadam — grande bestya jest molto fatigato, bo ona pakunki dźwigała! Ino nic już nie gadaj. Po-się zabier wartko!”.
Zajął bydlęta i pognał.

Wtedy mój pan zwrócił się do ludzi stojących wokoło, i zaczął się rozpytować. Dopierość i ja mógłem się im przypatrzeć. Wszyscy byli chłopy, miastowi, co niby to mieszczanie, ani jednego pana między nimi; mieli na sobie obcisłe przyodziew, na nogach trzewice, kapelusiki niedużne na głowach; włosów wcale nie strzygli, bo im spadały w strzechach na kark tyże; rosłe byli i śmigli, a na twarzach cygańscy i smagli, oczami patrzali bystro, i nic ni mieli przyjemnego w sobie. Oświaty tyż żadnej nie widać było na nich, bo jak miasto było brudne, tak i oni. Judasi z Tater

~~przy miastach~~ wyglądaliby przy ~~[illegible]~~ nich jeszcze biedniej. Kobiety to tyż te niewiele odchodzą.

Przypatrowałem się ~~im~~ i myślałem se: skąd się tyż to takie miasto wszystko, poco je ta wymurowali, co ci ludzie tu robią, czego żyją, bo przecie chyba kamieni nie gryzą — któryś pan się zwraca do mnie: „No, Jędrek, ni mamy tu co długo popasać, bo tu ani hotelu, ani gospody, ani ~~żadnej rzeczy, która jego~~ nic niema. Musimy wracać." „~~Jakoż?~~ — ~~pytam~~ — „~~to ani karczmy niema?~~ „Jakoż..." — pytam się — „a kaj są te panie jaśniejsze, za którymi my przyszli, chcieli?" — „Nie ma już" powiada — „Były obejrzeć i pojechały ~~dalej~~. Kto wie, kaj jest. ~~[illegible]~~ teraz." „Żyją i srebrnymi ~~wcale~~ ~~„Ho może pan~~ mcech se pan [illegible]..." mówię, ~~„jak to [illegible]~~ bo mi go żal się zrobiło — „Baba, to taki jak koza. Choćbyś ją najbardziej chciał dogonić, jak się uprze, to jej nie dogonisz. Już je ~~[illegible]~~ tu, już je ~~[illegible]~~ kark może skręcić, ~~nidali je dogoni~~. Jakbyś setę za nią, i też się jej zabaczy. A choćby ją i do łapieś, to jej jeszcze nieczas. Baba trzymać w ręcach, to tak, jak mogą." — „Głupiś!" powiada mi pan we złości. „Może i to być...". Nie sprzeciwiałem się, bo cóż, ich tu, kim interesie, to jakby się jeszcze bardziej złościł. „A nic mozna by tyż tu co dostać zjeść?" — pytam się pana niespodzianie, bo od rana nic ani w gębie miałem. „I pan tyż musi zgłodnieć." „Dyabła!" — mówi — „~~nie~~ ~~[illegible]~~ pewnie się pytać. Nic ni mają, chyba kozie mleko..." — „~~to kozie~~ mówię, ~~[illegible]~~ „Tfu!.." spluwałem, bo mi się przypomniało, jak mnie raz u jednego kumornika poczęstowali, niech im Bóg nie pamięta, dobry ludzie. „To to koziarze! widać... ~~[illegible]~~ Z czegożby ta inszego żyli? ale poco im to miasto, te murowa... nice? Skryłby się bycel pod krzak, jakby niepeć przyszła, ci byłoby. Poco ludzi ćmić z daleka miastem?

ale widzą [illegible] pan — mówię — jak oni nas opatrują, jak oceni takiego kuferki. To niebezpieczny naród..." — „No zbieraj się!" przynagla pan. „No dziś dobrze, że gotowy — pakunki same bierzemy mówię, ale jakie tak [illegible] pan na przekąty — spieszę tu może mają jakie bydlę, coby pan na nim pojechał..." „Nic nie ma" — mówi — „ani osła, ani żadnej rzeczy, która jego jest." „Leć wartko, zatrzymaj poganiacza, niech zawróci!" Pobiegłem w te pędy, [illegible] dostrzegłem wnet na otwartej drodze — widzę go daleko, wołam — ten nic, jak głuchy. Zleciałem na dół i dopadłem go na zakręcie. „Dawaj piko te bestye!" — mówię zdyszany — „albo gramy, albo obie wraz. Co tchu!" I zastąpiłem bydlętom drogę. A ten z kijem wyszedł i rzecze: „Nie chcę." „Żydzie, dyabła! Ja cię tu będę prosić!" Porwałem osła za chomont i ciągnę. Ale kabyś z bestyą... Zaparł się wszystkiemi cztrema nogami, a i ani rusz. A Włoch gęsto widzę w kieszeni i patrzy. Taka mię wtedy złość porwała, żebym był osła zabił, i tę drugą bestyę, i tę trzecią. Ale jakoś święty ustrzegł [illegible] ludzie przyszli [illegible], toż to [illegible] zwróciłem do poganiacza i [illegible] na [illegible] wyjaśnić: że [illegible] się nie boi, że zrobię ze tych ludzi na świadków biorę. Ale nic, nie dał się wyprosić — pognał.

[illegible] Cóż było robić. [illegible] w duchu i [illegible] zawróciłem naraz. „Cóż tyż to za naród!" usłyszałem się idący w górę — „ani tak z nim, ani owak, jak i z tym osłem!" Pan na mnie czekał, rozmawiał z Włochami. Skoro mnie [illegible] „Cóż?" — pyta się wartko. „Nie chce zawrócić — dopiąć."

Poquet. "Pan podziwiać chciały, bo to bez ku [illegible] podróży." I poszliśmy, ale inną drogą, o której nam powiedzieli, że je krótsza, i do innej stacyi prowadzi.

Uszliśmy już kawał setny.. Młodzież, wyi jak nas tyż chapał dyszc, to się widziało, że nas doszczętu zatopi. Nie strugi, ale potoki z chmur, z nieba prosiutko na nas leciały, wyprali my tyż. Ja jeszcze, jak je- to mi ta nie dziwne, choć takiego narzemnego dyszca to u nas nie bały — ale panna mój to już ledwo lazł, taki był biedny. Żal mi go było doprawdy, chociach i siebie żałował, bo mi ociekały od wody i gnietły plecy. Pocieszałech go, jakech mógł. "To nic, mówię, to przeleci, choć nas ta pomocy!.." To mówi chłopak ino i mówię: "proszem pięknie, niech mi tyż pan powiedzą, jak się ten kraj wszech zowie, niby to miasto, kaj my byli.... Bo bych chciał tośmy zapamiętał, ino wiem na przestrogę, jakby się im czego zachciewało.." Pan ino zadowie na mnie kiedyś w słowie, tom jej potem i nie nie mógł. Bo i skąd mi dościeci.

Dostaliśmy się wreszcie do stacyi. Ale suche nitki na nas nie było. Pan się odział do cekalbi nutkał i przebrał się domału — a je to już takim mokrym musiał ostać, Jozie. Dali nam Potem zawołał, czyby mi mowa dostać co zjeść. Dali nam tyż jeno syrki, bo nic innego nie było na tej stacyi.

Niedziwnyś był, szych nie spojrzał nawet nań, a wtedy mi tak te syrki ominą, jak mógł nie w sposób. Pan jeszcze w kolei trzęsła się. Od przeziębienia ino długo potem się wspomnieć, i z te wszy, jak my do Krymu przyjechali — poszedł zaraz do kraju i nie wrócił, ale nawiedziła wszędy pożegnanie.

—

W Rzymie nie dłużej niż my potem byli. Ino kielka dni. ~~[illegible]~~ Bez postawania i powrót. Myśleli my jesce do Neapolu pojechać, ale pan dużo pieniędzy pożyczył hrabinie i już mu brakło. Nie żałowałem, że my tam nie pojechali, bo raz, żem ku chałupie ~~już~~ pociągał, a potem słyszałem, jak któryś z malarzy mówił, że kto widzi Neapol i umarzeć z tego widoku!... to mnie tyż nie bardzo ciągło.

Wracali my inszemi drogami, samemi kolejami, aż się ćmiło. Jechalimy oba z panem w trzeciej klasie, bo jakem już powiedział, pieniędzy ~~panu~~ nam nie wystało.

Pan jechał smutny i niewiele co bez drogi gadał. Oczymałem mu, jakem mógł, że wszystko będzie dobrze, że ~~[illegible]~~ choć angielscy ~~dyasli~~ dyasy kamysi ponieśli, to z hrabiną ~~[illegible]~~ sprawa pewna, ~~jak~~ skoro komedyje zatorona, niech ~~się~~ nie trapi, ale nieporada go było ozbawić. Wreszcie i dałem spokój, bo i mnie ku chałupie ~~[illegible]~~ myśl niosła, skoro my się zbliżali, jak tyż tam co, czy w domu zdrowi, ~~[illegible]~~ czy zbiórki będą na polu...

Ostali my się z ~~[illegible]~~ nocy stacji ~~w [illegible]~~ — pan pojechał ku Zakopanemu, a ja zaś ku chałupie. I to wszystko. Jak, Bóg pozwoli kiedy, to go przy czasie odwiedzę.

— To-ście dudków nijakich nie przywieźli? — spytał w końcu ~~[illegible]~~ [illegible], który ~~[illegible]~~ cały czas przydrzymywał i słowem się nie wtrącił.

— Pieniędzy bom nie przywiózł — odrzekł Jędrek — ale com użył, com widział, com się nauczył, to tego nie kupiłbyś za cały swój grunt, i ~~niech ta Panienka da zdro~~, ~~[illegible]~~ wiecie, co se pomyślę... że kto wie, czy Panienka umyślnie nie zesłała pana, aby mię w Tryeście spotkał, a może i ci, co mi pieniądze ukradli, byli od Boga natchnieni ~~[illegible]~~

~~Na tem Jędrek [illegible] zakończył.~~

Herkules Nowoczesny:

I. Herkules now.
II. O wojtku, który się nie [illegible] –
III. Przykry moment
IV. Opowieść o [illegible]
V. Lód
VI. Jak jechał [illegible] po [illegible]
VII. [illegible] Baje

Wesele Prometeusza:

1. Wesele Prom.
2. Świt
3. O św. Męczennicu
4. „Napoleon"
5. Zemsta [illegible]

Listy:

- ~~Siostra~~
- ~~Helena~~
- Ks. Kapelan
- pułk. Roja
- ~~Walerka~~
- Rzechowski
- ~~Karta z [illegible]~~

Czernecki
Warszawa
Odczyt
Inter arma
pułk. Roja

—

!

- „Czas"
- Kapelan
- Rzechowski
- p. Roja

bluzen [?]

hr. Wodzicki
Gorski [?]

—

- Mapa
- Ks. Stunc [?]
- Głos Narodu

Spis rzeczy.

Tegoż autora:

Nad urwiskiem. Szkice i obrazki. Nakład Tow. wydawni-czego. Lwów. 1900.

Komornicy. powieść. Nakład. Tow. wyd. Lwów. 1900.

W roztokach. powieść w 2 tomach. Nakł. Tow. wyd. Lwów. 1903.

Z tej smutnej ziemi. Poezye. Nakład Księgarni Polskiej. Lwów. 1903.

Skapany świat. Dramat w 4 aktach z epilogiem. Na-kład Księgarni polskiej. Lwów. 1903.

Ofiara. Dramat w 3 aktach cz. 4 K. Nakład Spółki nakładowej „Książka". Kraków. 1905.

Wina i Kara. Tragedya w 3 aktach. Nakład Spółki nakł. „Książka". Kraków. 1905.
